Nr. 7. Lwów, dnia 15. lipca 1895. Rok XVIII.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek, 5 złr., 5 rs., 12 franków.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

WYCHODZI z początkiem każdego miesiąca.

Na rojstach litewskich r. 1893.

(Ciąg dalszy.)

Pierwszego wieczora po przyjeździe do S. Jan wyprawił nas wcześniej spać, bo „i pan z drogi i jutro do lasu“.

Spaliśmy w szopie na sianie. Szopa była nowo stawiana, brakło jej wrót i połowy dachu. Za to powietrze było ciepłe, łagodne, komarów mało, a siano pachło tak, jak pachnie leśne siano sucho sprzątnięte.

Z rozkoszą wyciągnąłem zbite podróżą i niewywczasem ciało na miękkiem posłaniu, ale usnąć nie mogłem. Po głowie szumiała mi myśl, że oto jestem w tych litewskich puszczach, do których tak długo tęskniłem, o których tyle myślałem i słyszałem. O parę kroków odemnie szumi oto chłodny, ciemny las, w którym znajdę się za parę godzin. I cietrzewie i głuszce, które mam ubić, są już także, śpią gdzieś niedaleko odemnie z utulonemi pod skrzydła główkami. Uczułem trochę wyrzutów sumienia na myśl, że je jutro niewinnie mordować będę, że przyjechałem tak daleko jedynie dlatego, żeby zakłócić ich spokój i szczęśliwy leśny żywot. Wszystkie te myśli i obrazy kłębiły mi się jedne przez drugie w głowie i mieszały się z cudownym zapachem siana, upajając mnie jak haszysz.

Black pomrukując ułożył mi się w nogach, wzdychając głęboko przed zaśnięciem, bo kolacya z miejscowej osypki nie smakowała mu i był w fatalnym humorze. Mój kolega i Jan chrapali już w kącie szopy, konie chrupały siano, wszystko było cicho, spokojnie i jasno w tę lipcową, miesięczną noc. Przez nieprzykrytą część dachu widziałem kilka gwiazd i białą chmurkę, stojącą nieruchomie na niebie. To było ostatnie wrażenie tego wieczoru i z tym obrazem pod powiekami usnąłem.

Nazajutrz ledwie pierwsze blaski świtu zarumieniły na wschodzie niebo, byliśmy na nogach. Spać mi się chciało jeszcze ogromnie, ale widząc, że moi towarzysze już wstali, zerwałem się i ja i wyszedłem przed naszą szopę zobaczyć, jak wygląda okolica po dniu. Las zaczynał się tuż za szopą, ale niewidać go było jeszcze zupełnie, bo tonął w mgle i w mroku porannym. Wszystko, co nas otaczało, przesycone było wilgocią; z każdej igły na jodłach wisiała kropla rosy, trawa na ziemi wyglądała jak posrebrzona, nawet nasze odzienie było wilgotne. W jednej chwili to chłodne, świeże powietrze ranka orzeźwiło mnie i gotów byłem ruszać choćby

zaraz. Na pieńku kipiał już samowar nastawiony przez Jana, kiedyśmy jeszcze spali. „Będzie pogoda, chwała Bogu, rzekł stary myśliwy, bo mgła idzie w ziemię.“ Pospiesznie piliśmy herbatę, parząc sobie usta, byle tylko czasu nie tracić.

W kwadrans byliśmy gotowi, ubrani, obuci — i uzbrojeni ruszyliśmy do lasu, poprzedzani przez skomlące radośnie psy, uszczęśliwione naszym rynsztunkiem i przygotowaniami. Minęliśmy małe, nieskoszone pólko owsa i razem z pierwszymi promieniami ukazującego się słońca weszliśmy w las. Nie był to nasz poczciwy mazowiecki albo wielkopolski lasek, pełen liściastych drzew, zielony, zamieszkały przez świegocące do rannego słońca ptactwo, wesół i pachnący. Tu widać było tylko siwe i czerwonawe pnie grubych jodeł, na ziemi mnóstwo łomu potrącanego nogami i kłującego w stopy, a wszystko to porosłe obfitym, brodatym mchem, zwieszającym się całymi pękami z każdego drzewa.

U nas mech jest skromny, dyskretny, rośnie tylko na północnej stronie drzewa i chroni gospodarza swego od zimna, płacąc w ten sposób za komorne i gościnność. Tu mech jest potężny, panujący nad wszystkiem, rośnie na każdej najdrobniejszej gałęzi i odbiera jej żywotne soki ciągnięte z ziemi. Te brody wiszące smutno ku ziemi nadają drzewom pozór starości i zgrzybiałości, który uderza od pierwszego wejrzenia. Oprócz tego lasy, które widzieć tam miałem sposobność, są martwe i milczące, bo zupełnie brak w nich drobnych ptaszków, ożywiających nasze lasy. Spotyka się jedynie dzięcioły, pukające o stare, zmurszałe drzewa. Zwierzyny niema zresztą w większych lasach, bo brak podszycia. Jedynym krzewem, jaki spotkać można, jest lichy, przejrzysty jałowiec.

Po półgodzinnym marszu przez las, zmoczeni obtrząsaną z igieł i z mchu rosą, wyszliśmy na miejsca, na których las począł się niższy, rzadszy i jeszcze więcej opanowany przez mech. Stąpaliśmy po miękkim mchu, a nogi zapadały się co chwila w torf, zostawiając w wyciśniętych stopami śladach wodę. Byliśmy na torfniakach nazywanych tu r o j s t a m i.

Dwa są rodzaje rojstów: mokre i suche rojsty. Jedne i drugie tem się odznaczają, że rosną na torfie, który stanowi charakterystyczną ich cechę. Stosownie do tego, czy położenie jest wysokiem i pokład torfu suchym, czy też bagnistym, rojst nazywają suchym lub mokrym. Istnieje jeszcze i trzecia nazwa bardzo bliska dwóch pierwszych: „mszarnik“.

Mszarnik jest to miejsce zupełnie bagniste, najczęściej kotlina wśród wilgotnego rojstu. Po rojstach można chodzić, na mszarniku śmierć czyha na śmiałka za pierwszym zaraz krokiem, któryby postawił na zielonej, nęcącej powierzchni. Mszarnik bowiem, jak twierdził Jan, „nie ma dna“.

Za mego pobytu na Litwie, w jednym z sąsiednich zaścianków wilki wpędziły konia na mszarnik. Zaledwie przednie nogi biednej szkapy dotknęły zwodniczego gruntu, zapadł się przodem z głową. Ubezwładnionego w ten sposób wilki obgryzły z tyłu do kości. I mój kolega i doświadczony Jan zalecali mi więc wielokrotnie, żeby mszarników strzedz się jak ognia, bo śmierć w nich czatuje.

Wyraźnych granic między temi miejscami niema i każdy suchy rojst zniżając się, przechodzi w mokry, w którym znowu najniższe miejsca jak studnie, stanowią mszarniki.

Chodzenie po rojstach należy do najtrudniejszych, jakie znam, bo w pokładzie miękkiego, grząskiego torfu leży mnóstwo niezgniłych sęków i gałęzi, które kłują stopy za każdym krokiem. Na powierzchni rosną wysokie trawy albo wrzos, plączący się dokoła nóg, ignących w torfie, a sama powierzchnia nie jest równą, tylko usianą kępami, o które myśliwy potyka się co chwila, rozbijając sobie palce u nóg. Nie wiem jakie obuwie byłoby najodpowiedniejszem. O długich butach nie może być mowy, bo te, zwłaszcza oblepione torfem, byłyby za ciężkie i, jak mówili miejscowi myśliwi, trzebaby „zostawić nogi“ na pierwszej wiorście. Angielskie sznurowane trzewiki byłyby odpowiednie, gdyby nie haki, zaczepiające się o trawę i wrzos. Idąc za przykładem mego kolegi wdziałem litewskie chodaki ze skóry, sznurowane rzemieniami. Okazało się jednak, że i te nie są praktyczne, bo skóra za cienka nie chroni dostatecznie podeszwy, zwłaszcza rozmięknięta. Z początku wydało mi się, że mam skrzydła u nóg, tak łatwo i lekko było mi chodzić. Po godzinnym jednak marszu, czyto wskutek rozmięknięcia skóry, czy też moje nogi stały się wrażliwszemi, każdy krok stawiany na ukrytym w torfie sęku sprawiał mi ból, a do domu wróciłem z nogami opuchłemi i piekącemi, jakgdybym chodził po świeżo wysypanej szosie. Nauczony doświadczeniem, obułem nazajutrz miejskie kamaszki, ale te zostawały w błocie i wyciągałem z nich nogi. Pozostałem więc nadal przy miejscowych łapciach, zabezpieczając tylko nogi kilku parami szkarpetek.

Co się tyczy reszty ubrania, tam, jak i wszędzie gdzie myśliwy narażonym jest na gorąco w dzień, a wilgoć i chłód w nocy, koszula z cienkiej flaneli oddaje niezmierne usługi i jest najwygodniejszem i zarazem najzdrowszem ubraniem. Istnieje powszechnie między myśliwymi przekonanie, że flanela jest latem za gorącą. Jest to stanowczo fałszywem, zwłaszcza jeżeli wełna jest cienką. Wentylacya, niezbędna dla spoconego ciała, jest przy flaneli daleko dokładniejszą i łatwiejszą, niż przy płótnie i perkalu, które to tkaniny, raz zmoczone potem, stają się zupełnie nieprzepuszczalnemi dla parującego dalej z ciała potu. Wiedzą o tem doskonale Anglicy i Francuzi, ubierający się podczas pobytu w swych podzwrotnikowych koloniach jedynie we flanelę.

Ale wracam do naszego rannego polowania i do miejsc, w których szukaliśmy łupów.

Otóż jeżeli chodzenie po mszarnikach grozi śmiercią, nie idzie zatem bynajmniej, żeby chodzenie po rojstach było łatwem i przyjemnem. Tęgo już zmachani doszliśmy wreszcie do miejsc, na których torfu już nie było, a zaczęły się suche, wysobie zagajniki, rosnące dziko i gęsto, zmieszane z jałowcem. Psy szukały skwapliwie zacinając się często na starych śladach. Black, przywykły do szukania w otwartych polach, gdzie chodził tak daleko, jak mu się podobało, nie rozumiał, dlaczego trzymam go ciągle przy nodze. Jako pointer był on psem zupełnie do polowania w gąszczu nieodpowiednim, bo wietrzył daleko i niknął mi ustawicznie z oczu. Na Litwie najodpowiedniejszą rasą psów są setery, idące chętnie na błoto i bardzo karne. Black zresztą, dzięki ogromnemu doświadczeniu i posłuszeństwu, był mi niezmierną pomocą, tem więcej, że nos miał od miejscowych psów nieskończenie lepszy i raz wpadłszy na świeży trop, już z niego nie schodził.

Pierwszą wystawioną przez Blacka sztuką była stara cieciorka. Byłem już kapitalnie znudzonym i zniechęconym, kiedy spostrzegłem Blacka wyciągniętego do krzaka jałowcu. Serce mi zabiło i w mgnieniu oka byłem tuż przy nim. Nie zdążyłem tchu złapać, kiedy z krzaka podniósł się duży, szary ptak, szybko machając skrzydłami i silnie łopocąc. Nie uleciał dziesięciu kroków i padł rażony strzałem.

Popełniłem czyn wielce niemyśliwski zabijając samkę. Uszło mi to jako gościowi. Zresztą byłem nowicyuszem i mimo szczerej chęci nie potrafiłbym był rozróżnić cieciorki od cietrzewia. W duszy myślałem sobie zresztą: „Jeżeli myślicie, że przyjechałem pięćdziesiąt mil i łażę teraz od świtu

zrywając na torfie nogi, żeby widzieć zrywające się cieciorki i nie strzelać, to się mylicie". Ostatecznie Jan wpakował mój łup do torby i ruszyliśmy dalej do łąk i moczarów, gdzie spodziewane były głuszce.

Z suchych zagajów zeszliśmy znowu na mokre łąki, porośnięte gęstą trawą i wikliną, które przechodziły z kolei miejscami w jakieś obeschnięte bagna, na których rosła i trzcina. Miejscowość miała pozór niezmiernie dziki i dziewiczy, a ciągnęła się jak okiem sięgnąć. Nietylko głuszec ale łoś ukazujący się na tem tle nie byłby mnie zdziwił. Rozciągnęliśmy się szerokim łańcuchem zajmując dużą przestrzeń łąki.

Chwilami towarzyszy moich traciłem z oczów, potem znów widziałem ich głowy nad lasem trzcin i wikliny. Szliśmy wolno naprzód tym miarowym krokiem myśliwego, idącego za szukającym wyżłem, który to ruch robi nas podobnymi do bocianów. Środkiem szedł mój kolega, prawego skrzydła bronił stary Jan, lewe ja zajmowałem, hamując nieustannie gorącego Black'a, który odbiegał ciągle zadaleko.

Pusto było dokoła. Ani ptaszka, ani motyla, ani nawet komarów nie było w tych miejscach głuchych i bez życia. Słońce wzbiło się tymczasem wysoko i przygrzewało mocno, bo wiatru nie było. Nad sitowiami trzęsło się powietrze. W końcu ogarniać mnie poczęły nudy i zniechęcenie w tej pustce, gdzie nic, nic się nie ruszało, niczego nie było, na czem możnaby zatrzymać oko. Wspomniałem polowania w Królestwie, gdzie od siódmej do jedenastej dać można było pięćdziesiąt strzałów. Zacząłem już żałować swej eskapady, dającej przyjemności stanowczo za mało wobec strasznego zmęczenia i trudów, z którymi musieliśmy się łamać.

Naraz też koło mnie Black zaciął się przed dużym, płaskim jak plaster pleśni krzakiem wikliny. Spuścił wzniesioną do góry łapę, postąpił krok naprzód i znowu stanął mijając krzak bokiem. Nuda, zmęczenie i zły humor odleciały odemnie na ten widok. Pies stał ciągle, jakby przed nim wzniósł się nagle niewidzialny a nieprzebyty mur, przez który nie mógł się przełamać. Czując mnie blisko, zachęcany mem cichem „allons Black, allons", ruszył dalej tym miękkim, pełzającym krokiem wyżła, czującego zwierzynę w pobliżu.

Cały drżący, nos, grzbiet i ogon w jedną poziomą wyciągnięte linję, zdawał się płynąć po powierzchni wysokich traw. Łapy podnosił tak wolno, tak ostrożnie, tak miękko stawiał je na ziemi, jakgdyby za każdym krokiem stawiać miał nogę na ostrym kolcu. Zdawało się, że w każdym jego ruchu jest za wiele siły, że każdy ruch byłby za duży i za pełny, gdyby nie hamował go całą siłą instynktu, każącego mu skradać się i pełzać. Cała jego istota była gdzieś w wysokich trawach, w miejscu, które odgadywał jego szlachetny, wytworny nos. Nie trącił silniej żadnej gałązki, nie złamał źdźbła trawy wijąc się między przeszkodami jak wąż. Chwilami w gęstej trawie ginęły jego nogi i wówczas zdawało się, że płynie prując trawę piersiami...

Magnetyczny prąd jakiś bijący od niego owładnął i mną. Czułem przez bluzę jak mi serce skacze w piersiach. W skroniach tętniały mi pulsa i szedłem tuż za nim z palcem na cynglu, cały drżący. Chwilami stawał i zwracał ku mnie wielkie, żółte oczy, szeroko otwarte, jakby upewniając się, że jestem dość blisko. Potem spuszczał wzniesioną łapę i pełznął dalej. Spodziewałem się starego cietrzewia wyleniałego t. z. „kosacza", o których mistrzowskiem wyciekaniu nasłuchałem się poprzedniego wieczora. Ale i Black piechur pierwszej wody nie zmęczy się, a nos ma taki, że raz na śladzie już z niego nie zejdzie — myślałem w duchu. Szedłem tedy jak przykuty do psa stosując swoje kroki do jego ruchów. Kiedy on stanął i ja się zatrzymywałem przestając oddychać, cały w oczach, oczekując, rychło zobaczę zwierzynę.

Patrząc przed siebie widziałem, że o jakie trzydzieści kroków przed nami wiklina i trawy kończą się jak nożem obcięte, a zaczyna się goła, równa jak stół płaszczyzna. Pies tymczasem stawał coraz mocniej, wszywał się jak igła w najgęstsze krzaki i kępy, w końcu kładł się na brzuchu pełzając jak jaszczurka i posuwał się tylko popychany przezemnie gwałtem nogą. Płaszczyzną, którą widziałem z daleka, było wyschnięte jakieś bagno, pokryte niskim mchem, zielonym jak sukno. Przed ostatnim krzewem wikliny, za którym zaczynało się już miejsce gładkie, stanął Black jak wryty i nie chciał się ruszyć mimo usilnego trącania go nogą i zachęty głosem. Chciałem go minąć i sam wydeptać to, co było w gęstwinie. Ale zaledwie zrobiłem krok przed nos psa, krzak zaszumiał jakby ożył i roztrącając z hałasem gałęzie, podniósł się jakiś duży ptak wielkości jędora głośno łopocąc skrzydłami. Krótką chwilę słyszałem głośne łop-łop-łop skrzydeł, bezwiednie podniosłem broń do twarzy i wycelowawszy machinalnie w ciemną ruszającą się przedemną masę piór, pociągnąłem za cyngiel...

Przez dym wystrzału widziałem jak ptak spadł kamieniem na ziemię. Rzuciłem się ku niemu wołając na psa, kiedy z boku rozległo się powtórne łopotanie i drugi ptak podniósł się rześko z krzaka. Zmierzyłem się powtórnie, pociągnąłem drugi cyngiel i drugi ptak spuścił się na ziemię. Z radością rzuciłem się do zabitej zwierzyny nie zważając już na trzecią sztukę, wyrywającą się za mną, a którą byłbym zabił, gdybym był zachował zimną krew i nabił wystrzeloną broń...

Black rzucił się tarmosić zabite ptaki, a ja stałem oddychając ciężko jak ktoś, co z trudnej próby wychodzi szczęśliwie. Nerwy, długo napięte do najwyższego stopnia, wracały zwolna do równowagi; czułem, że mi się ręce trzęsą.

Moje ornitologiczne wiadomości wystarczały, aby poznać, że zabite dwie sztuki, leżące po szczęśliwej dublecie u moich nóg, są g ł u s z c a m i. Byłem głęboko wzruszony patrząc na tę wspaniałą zwierzynę, do królewskiej liczoną, której wielu dzielnych myśliwych nie widziało inaczej jak w gabinetach zoologicznych. Tak wspaniałej dublety nie dałem nigdy w życiu. Black również uszczęśliwiony obwąchiwał nieznaną mu zwierzynę machając radośnie ogonem.

Były to przepyszne dwa samce, dobrze już wypierzone, czarniawe, ciężkie jak jędory, sprzedawane w Warszawie pod nazwą tuczonych. Razem ważyły przeszło piętnaście funtów. Tymczasem ściągnęli się i moi towarzysze odgadując, że musiało mnie spotkać coś niezwykłego. Nawet Janowi, który zęby zjadł na polowaniach, zaimponowała moja dubleta.

— Ot! kiedy mu dał — odezwał się stary, podnosząc w górę zabitego pierwszym strzałem głuszca.

Rzeczywiście, ptak strzelany *à bout portant* był jak rozmiażdżony całym nabojem drobnego cietrzewiego śrutu.

Nie szczędzono nam powinszowań i pochwał, które Black przyjmował obojętnie jako rzecz z prawa mu się należącą i z dawna powszednią.

Nie mieliśmy już co robić w lesie, bo dubleta do głuszców nie zawsze się zdarza, zawróciliśmy więc do naszego koczowiska przez tę samą łąkę, która była tryumfu mojego teatrem. Byliśmy zresztą tak jak i nasze psy tęgo zmachani.

Tu miałem sposobność porównać wytrwałość pointerów z wytrwałością psów z długim włosem, z którymi polowali

moi towarzysze. Kiedy biedne psiska wlokły się z wywieszonymi językami noga za nogą, Black był niestrudzonym i z całym ogniem przekładał przed nami galopem, przetrząsając łąkę. Zabicie jednak czterech cietrzewi i dubelta przeszło bez wrażenia i więcej gawędząc jak polując, doszliśmy do naszego obozu zmęczeni, zlani potem i zabłoceni, ale w wybornych humorach i głodni jak wilki.

Co do mnie, jeść nie mogłem; wypiłbym był studnię całą, ale woda była niegodziwa, błotnista i pełna wymoczków. Bałem się febry, więc poprzestałem na szklance zimnej herbaty pozostałej od śniadania. Leżeliśmy bez duszy na sianie i rozkoszując się wypoczynkiem, czekaliśmy śniadania, które przyrządzał tymczasem żelazny Jan, krzątając się koło naszego zbójeckiego gospodarstwa. Wypatroszył ptaki zabite rano i napchał im brzuchy pachnącem jakiemś zielem, tymiankiem zdaje mi się. Miało to powstrzymać psucie się, którego wobec gorąca spodziewać należało się szybko.

Nie zawiodło mnie smutne przeczucie. Pomimo, że wyjazd mój nastąpił wcześniej, niż się spodziewałem, głuszców, którymi pochwalić chciałem się przed znajomymi, do Warszawy zabrać nie mogłem, bo poczynały być nieświeże.

Śniadanie jedliśmy jak wszystkie posiłki, leżąc pokotem dokoła pieńka, na którym Jan zastawiał nasze uczty. Pić, ach, pić chciało mi się piekielnie przez cały mój pobyt na Litwie, a wody nie było. Za późno przyszedłem do przekonania, że trzeba było zabrać filtr mały, kieszonkowy i proszków burzących. Syfon wody sodowej miałby tam wartość nieocenioną.

Zaspokoiwszy głód, poszliśmy spłacić dług słodkiemu Morfeuszowi. Zmęczenie i senność zamykały nam oczy gwałtem, a pachnące siano nęciło nas do siebie nieprzeparcie. Black, jak ja potrzebujący spoczynku, ułożył się pierwszy na mojem miejscu, uważając je za wspólne i mnie zostawił tylko wąski brzeg posłania od ściany szopy. Pamiętny jego rannych zasług, nie niepokoiłem go zbytecznie i wkrótce obadwaj zasnęliśmy słodkim snem, pełnym głuszców i cietrzewi. Usypiając słyszałem, jak poszczekiwał przez sen, marząc o jakiejś chimerze ze skrzydłami.

Pod szopą było strasznie parno i duszno, czułem przez sen, że mi gorąco i zmora mnie dusi. Obudziłem się wcześnie, była ledwie druga po południu. Moi towarzysze spali jeszcze, psy i konie spały jakby cała okolica zasianą była snemtrawą. Myślę, że nawet głuszce i cietrzewie spały w okolicznych rojstach, bo lasy wydały mi się więcej jeszcze martwe i milczące niż rankiem.

Byłem cały zlany potem, wyszedłem więc przed szopę odetchnąć świeżem powietrzem. Psy podniosły głowy, jeden korzystając z przebudzenia, przeciągnął się, podrapał za uchem i ziewnąwszy, wyciągnął się jak długi. Black niechętnie i mrucząc powlókł się za mną, uważając widocznie za swój obowiązek nie odstępować mnie w tej obcej krainie.

Cicho i sennie było dokoła. Lasy przesłoniły się niebieską, leciutką mgłą, podnoszącą się z rojstów, a nad bliskiem pólkiem nieskoszonego owsa trzęsło się powietrze. Miałem dużo czasu przed sobą, bo ruszyć mieliśmy do lasu dopiero o piątej po południu. Dzień był prawdziwie lipcowy, skwarny i pełen słońca jasnego i złocącego wszystko, na co padały jego promienie.

Czekając na mych towarzyszy, zatopionych w głębokim śnie, usiadłem na pieńku w cieniu jodły i zapaliwszy papierosa, zacząłem dumać, patrząc na śpiącą okolicę. Przeniosłem się myślą do Warszawy, żałując wszystkich, co się tam wędzili w rozpalonych murach, pełnych kurzu i cholery. Potem z kolei zacząłem przypominać sobie, gdzie spędzałem inne lata i w pamięci stanęło mi inne popołudnie letnie w południowej Francyi, spędzone na wycieczce w górach. Tak samo świeciło wtedy gorące słońce, tak samo spało wszystko dokoła, tylko świerszcze śpiewały w tysiącznych głosach swą skrzypiącą piosenkę. I wtedy nie mogłem spać, leżałem wyciągnięty w cieniu skały i patrzałem na wspaniałą panoramę kąpiącą się w złotem słońcu. Ale wówczas widnokrąg kończył się oceanem, który z góry wyglądał jak posypany złotem, a daleko, het, na końcu horyzontu, płynęła łódź z białymi żaglami, a płynęła tak wolno, że nie psuła tej ciszy i tego spokoju. Widok był tak piękny, że chyba szatan kuszący Chrystusa nie pokazywał piękniejszego. Na pierwszym planie czerniały cienie rzucane przez potężne skały, u stóp widać było jak na dłoni jakieś białe miasteczko schowane w zieleni, z której wyglądały tylko czerwone dachy domków, i kilka rybackich wiosek, porzuconych jak gromady kamieni nad lazurowem morzem, pozłoconem promieniami słońca. Powietrze było górskie, przejrzyste, w którem przedmioty nawet bardzo dalekie rysowały się jasno i wyraźnie jak na dłoni, a wszystko było małe w tem powietrzu i jasne, jak nowe domki dziecinne wyjęte z pudełka. Człowiek czuł się tam oderwanym od ziemi i bliższym nieba w tem cudnem powietrzu...

Tu byłem także w samem sercu natury, ale krajobraz był inny. Wszystko było jakieś głębokie, tajemnicze i przesłonięte parą. Widnokrąg był ciasny, ale czuć było duże, ogromne obszary leśnych głębi dokoła. Jeżeli tam w górach czułem w sobie coś nieziemskiego prawie, to tu czułem się istotą ziemską, od ludzi daleką, dobrze ukrytą wśród tych puszcz i błót. Z rozkoszą myślałem o tem, jak daleko odsunąłem się od wszystkiego, co jest cywilizacyą, miastem i drukiem. Było to właśnie takie życie, o jakiem marzyłem, jakiem przeżyć chciałem choć dni kilka, skryty w lasach z moim psem i ze strzelbą w ręku.

Żal ścisnął mi serce, kiedy pomyślałem, że kilka takich dni jeszcze i skończy się ta romantyczna włóczęga po lasach i rojstach, ta swoboda, te wieczory przy ogniu, i wrócić trzeba będzie do pracy, do miasta i do codziennych monotonnych trosk o chleb powszedni. Żal mi się zrobiło bezczynnie traconych chwil, poczułem w sobie cały zapas sił zbieranych od roku i gotów byłem ruszyć choćby zaraz do lasu, byle być w ruchu i używać swobody.

Wróciłem do szopy. Tu spało jeszcze wszystko, nawet konie przestały chrupać siano i stały ze spuszczonemi łbami drzemiąc. Było zresztą wcześnie; wpół do czwartej. Przyszło mi z początku do głowy ruszyć samemu, nie czekając na śpiących, ale porzuciłem tę myśl jako niepraktyczną. Nie znając lasów, mogłem się zabłąkać i nie znalazłbym zwierzyny w obcej miejscowości na wielkich obszarach. Z rezygnacyą tedy zabrałem się do czyszczenia strzelby i czekałem na mych towarzyszy. Zresztą próba mej cierpliwości niedługo trwała, bo po kwadransie wyszedł mój kolega zaspany jeszcze, spocony i oblepiony sianem. Po chwili ukazał się i stary Jan, a obadwaj radzili czekać jeszcze, bo cietrzewie w gorąco tkwią ukryte w najgłębszych gąszczach i dopiero z nadejściem chłodu ruszają na żer.

W mgnieniu oka pojawił się nastawiony przez Jana samowar. Gawędząc, piliśmy herbatę i czekali chłodu, a w godzinę potem zbrojno i wesoło ruszyliśmy na nowe łowy.

O ile rankiem grzęźliśmy w mokrym torfie i miękkim mchu, o tyle po obiedzie polowaliśmy w miejscach przeważnie wysokich, suchych, porośniętych wrzosem i silnie woniejącem „bagnem“, które w miejscowej gwarze „bahunem“ nazywają. Jestto, o ile się nie mylę, *Ledum palustre*, roślina

w medycynie stosowana. W tych samych miejscach często, w najbliższem sąsiedztwie rośnie t. zw. „pijanica“, roślina równie jak bagno silnie pachnąca. Jeśli dzień jest gorący, bez wiatru, zapach bywa tak silny, że pies przestaje węszyć a myśliwego boli głowa. Nie bez racyi więc nazywają jeden z tych krzewów pijanicą. Zapach jej odurza jak trunek i głowa ciężyć poczyna.

Długo, długo szliśmy lasem nic nie spotkawszy. Napróżno psy, szukając ochoczo, przetrząsły każdy krzak, każdy zaułek — las pozostawał martwym i pustym. A jednak miejsca były dziwnie ponętne i obiecujące. W Królestwie w takich miejscach trzęsłoby się od zajęcy i sarn, tu była pustka i głusza. Zresztą sama miejscowość nazywała się Głuszą.

Po dwóch godzinach bezowocnej włóczęgi, nudnej i męczącej jak zawsze polowanie bez zwierzyny, zasiedliśmy pod cienistem drzewem dla odpoczynku. Jan był w złym humorze i wyrzucał memu koledze, że wyszliśmy za wcześnie, podczas gorąca, które psom odebrało węch. Uśmiechnąłem się w duszy, wspominając dnie, w których pomimo skwaru Black znajdował całe tuziny kuropatw, nie opuszczając ani jednej. Ale tam były kuropatwy, a tu nie było oprócz komarów nic.

— Łosie tu musiały być w Głuszy? — zapytałem Jana, chcąc go wyciągnąć na opowiadanie.

— Ta, jakże nie? Były. Sam zabiłem jednego na Długiem Błocie, jeszcze za nieboszczyka pana. Zimą było. Szedł na sztych, a kiedy ja jemu dał pod róg, to się aż zaboczył jak pijany, dopiero drugi raz strzelał do boku, kula poszła w serce i padł — odpowiedział z ogniem stary.

Zły humor zniknął na to wspomnienie i coraz to nowe historye posypały się jak z worka.

Ach, lasy to były lasy! o których nam bajał stary myśliwiec. Gdzie położenie wyższe, piaszczyste góry, tam jodły nieba sięgały. Po nizinach kisły rojsty niezgłębione, niezbadane jak mateczniki Mickiewicza. Zwierza musiała być moc, skoro bito jednego dnia po ośm łosi. Dziś w tych samych miejscach nie mogliśmy znaleść lichego cietrzewia.

Posiedziawszy godzinę zasłuchani w opowiadania Jana, ruszyliśmy dalej orzeźwieni wspomnieniem lepszych czasów i pełni nadziei. Jakoż odwróciła się karta, bo ledwie uszliśmy dwieście kroków, psy stanęły. Stały razem do tego samego krzaka jałowcu, z wyciągniętymi jak strzały pyskami. Obstąpiliśmy krzak dokoła gotowi do strzału, zachęcając psy do ruszenia naprzód. Jakoż młoda suka mego kolegi, prawdziwe „*enfant gaté*“ nie wytrzymała i rzuciła się ogniście do krzaka, wyprzedzając oburzonego takiem zachowaniem Blacka, który jeszcze silniej przycisnął się do ziemi, widząc namiętny ruch swej towarzyszki.

Z pod samego nosa suki wyrwał się stary cietrzew, wznosząc się w górę pionowo jak świeca. Był tak blisko jej nosa, że skoczyła w górę i kłapnęła zębami chcąc go przytrzymać. Wszystko razem nie trwało sekundy; padły najprzód trzy gorączkowe strzały, potem znowu trzy i cietrzew, szybko machając skrzydłami, nietknięty poleciał do lasu. Strzelaliśmy jeden ubiegając drugiego i jak się zwykle dzieje w tych warunkach spudłowaliśmy wszyscy niemiłosiernie spiesząc się zbytecznie. Zresztą wypadek ten nie bardzo nas zmartwił, bo niepowodzenie dzieliło się na trzy równe części, więc znieść je było łatwiej.

Śmiejąc się, rozeszliśmy się i zajęliśmy las szerzej. W chwilę potem widziałem, jak Jan zatrzymał się, a z przed niego poderwało się stadko sporych szarych ptaków. Mgnienie oka widziałem ptaki zawieszone przed nim w powietrzu; stary podniósł broń i z końca luf dmuchnęły dwa obłoczki niebieskawego dymu. Dwa ptaki jak dwa kłębki szarej wełny upadły na ziemię, odłączywszy się od reszty gromadki, która poleciała w tę stronę co i pierwszy cietrzew. Straciłem je z oczu dopiero daleko na tle lasu, zasłaniającego widnokrąg.

Zaczynało się widocznie powodzenie, bo i Black złamał się w pełnym biegu i zgięty w pół, stanął na obszernem wrzosowisku. Ze sposobu w jaki stanął, z jego miny poznałem, że zwierzyna siedzi tuż przed jego nosem. Był to stary, wspaniały samiec cietrzew, kosacz. Zerwał się jak pierwszy wzlatując pionowo w górę i gdacząc głośno. Ogon roztoczył jak lirę a błyszczał cały w słońcu jak stalowy. Strzał był idealnie łatwy, jak zresztą zawsze do cietrzewi, jeśli nie przeszkadza gąszcz leśna.

Z prawdziwym zachwytem przypatrywałem się pięknemu ptakowi przyniesionemu przez Black'a. Jeżeli głuszec jest rzadszym, trudniejszym do zdobycia i więcej pożądanym przez myśliwych, to cietrzew jest nieskończenie piękniejszym pod względem upierzenia i kształtów. Zabity przezemnie kosacz nie był tak pięknie upierzonym, jak cietrzewie bite na tokowisku, ale pomimo to był pięknym w całem znaczeniu tego słowa ptakiem. Grzbiet i szyja granatowo-stalowego koloru, jak w pancerzu zakute, pióra w ogonie zawinięte w obwarzanki, a nad oczami jak brwi półksiężyce purpurowe. Musiał być starym, sądząc po nogach, opatrzonych w twarde, jasne pazurki i grzebień rogowy między palcami.

Miałem chwilę wyrzuty sumienia, patrząc na przepysznego ptaka niewinnie zamordowanego. Żył sobie szczęśliwie w swych rodzinnych puszczach, których był ozdobą, które napełniał wiosną życiem i grą miłośną, a oto zjawił się z dalekich stron prawdziwy najezdzca i zabrał mu niesprawiedliwie jedyny jego skarb — życie... Black nie podzielał tych sentymentalnych zapatrywań i niecierpliwie zaglądał mi w oczy, pytając, dlaczego tracimy czas napróżno, skoro tak dobrze idzie. Przytroczyłem więc cietrzewia i ruszyliśmy dalej.

Ale czas mijał, a spotkać nie mogliśmy nic pomimo usilnego szukania Blacka. Zaczynałem być zmęczonym, kości mnie bolały, a ładownica z przytroczonym cietrzewiem piłowała mi ciało okrutnie. Fuzya, która rano wydawała mi się lekką, teraz obrywała mi ręce jakby cetnar ważyła. Nauczony rannem doświadczeniem, patronów zabrałem tylko dwadzieścia, przekonawszy się, że na Litwie nie strzela się tyle co u nas do kuropatw, a pomimo to wydawało mi się, że objuczony jestem jak wielbłąd. Zresztą moi towarzysze nie byli szczęśliwsi, bo strzałów nie było słychać i lasy były głuche i martwe.

Do wieczora było jeszcze daleko i nadziei nie należało tracić. Swoją drogą o zabiciu więcej cietrzewi myślałem z pewnym strachem, bo ten, którego już nosiłem, utrudniał mi niezmiernie ruchy, cóżby więc było, gdyby zamiast jednego wisiało mi u torby ośm. Minąwszy wysoki grzbiet, na którym z pomiędzy wrzosu połyskiwał żółty piasek, zaczęliśmy iść po obszernej równinie, pokrytej suchym mchem i wrzosem, z pomiędzy którego wyglądały spruchniałe pieńki po dawno widocznie wyciętym lesie. Nie spodziewałem się tam wielkich rzeczy, bo okolica miała wygląd nagi i pusty. Mój kolega i Jan byli niedaleko, skręciłem więc ku nim, chcąc w wypalonym wspólnie papierosie poszukać pociechy. Z miłem zdziwieniem dostrzegłem, że psy ich „mają coś“. Przyspieszyłem wiec kroku i wkrótce zrównałem się z nimi, idąc za psami.

Black, posiadający nos nieskończenie lepszy od miejscowych niewyraźnej rasy seterów, wyszedł od razu na czoło i niosąc wysoko głowę, poprowadził czworonogą trójkę.

Nie potrzebowaliśmy iść zbyt daleko, bo na nieznacznej górce, porosłej gęsto wrzosem i jałowcem, psy stanęły. Pamiętając do czego prowadzą strzały dawane wspólnie, trzymałem się umyślnie na uboczu, nie chcąc strzelać razem z drugimi.

Mój kolega był najbliżej psów, podszedł więc do nich najpierwszy. Jak stado rakiet wypuszczonych jednocześnie, zerwała się gromada jasnych ptaków, głośno furkocząc skrzydłami i krzycząc zapamiętale. Pardwy! przeleciało mi przez głowę i zmierzyłem pospiesznie do lecącego ukośnie ptaka, który na tle nieba wydał mi się zupełnie białym w świetle zachodzącego słońca. Widziałem, że ptak spadł równo ze strzałem, więc nie odejmując broni od ramienia zmierzyłem do drugiego, który nawinął mi się przed lufami. Strzeliłem dość daleko ale równie szczęśliwie jak do pierwszego i druga jasna plamka znikła z modrego nienieba spadając we wrzosy.

Pobiegłem do leżącej pardwy, która trzepotała jeszcze skrzydłami a drugą tymczasem aportował mój pies, radośnie machając ogonem. Moi towarzysze mniej byli szczęśliwi, bo dostała im się jedna tylko sztuka i to sporna. Byłem prawie równie zadowolonym jak zrana po zabiciu głuszców.

(Dok. nast.)

Szkice z podróży i polowań w Afryce

przez

Antoniego Pisulińskiego.

(Ciąg dalszy).

D. 27. lipca. W obozie niby święto. Ludzie oddają się słodkiemu *„dolce far niente“* i nic nie robią. Ja tylko nie mam spokoju. Dręczy mnie myśl, że tyle dni już zmarnowałem, tyle innej zwierzyny mimo siebie puściłem, li tylko dla tych wymarzonych słoni, a jednak ich nie widziałem. Tłumaczył mi wprawdzie Antonio, że to się zmieni, skoro okolice te opuścimy, był bowiem pewny, że niepowodzenie nasze spowodowane było tylko czarami jakiegoś zazdrośnego strzelca. Po przybyciu do Blantyre miał się postarać o odpowiednią medycynę, która niezawodnie ten szkodliwy wpływ usunie.

Musiałem udawać, że wierzę w jego zapewnienia, w rzeczywistości jednak byłem nie bardzo wesół. Mały atak febry odebrał mi humor i apetyt; czułem się osłabionym fizycznie i moralnie.

Taki stan umysłu nie pozwalał na bezczynność. Chociaż dzień dzisiejszy na wypoczynek przeznaczyłem, chociaż pocięte trawami nogi upominały się o wytchnienie — nie mogłem wysiedzieć w obozie. Kiedy usłyszałem wołanie pantarek nad strumieniem, chwyciłem za karabin i wybiegłem za niemi.

Do „moasy“ (obozu) powróciłem bardzo późno. Pantarek wprawdzie nie dostałem, ale natomiast ubiłem dwie „nowale“, przy których, pilnując ich przed sępami, do zachodu słońca w lesie zabawiłem.

D. 28. lipca. Stoimy gotowi do drogi. Namiot związano i kosze popakowane. Reszta pakunków jeszcze wczoraj była przygotowoną; czekamy tylko na tragarzy, którzy obdzielają mięso pomiędzy siebie i wkrótce ruszymy.

Miejsce, gdzie było nasze obozowisko, smutnie się teraz przedstawia. Ogniska wygasły, sztalugi służące do suszenia mięsa rozleciały się, a domek, który krył bagaże, umyślnie zburzono. Miejsca legowisk świecą teraz łysinami. Dokoła śmiecie, suche gałęzie, napół ogryzione kości, kawały skór i ohydne czaszki z ubitych wczoraj antylop. Robi to wszystko wrażenie cmentarzyska, a potęguje je jeszcze obecność sępów — tych grabarzy afrykańskich — które obsiadły gromadnie sąsiednie drzewa i czekają aż się wyniesiemy.

Ruszamy tedy ku Szirze. Drogą naszą jest łożysko Riwi-Riwi, kręte, o miałkim piasku i czasem tak ściśnięte rosnącemi po brzegach trzcinami, że powietrze tu zdaje się być zagrzanem. Wody tak dobrze, jakby nie było, bo ta, co się gdzieniegdzie w zagłębieniach przechowała, cuchnie i nie chciałem jej pić, aby nie wznowić ataku febry. To też zanim dowlekliśmy się do rzeki, co trwało dobrych pięć godzin, byłem tak zmęczony, iż nogi ledwie wlokłem za sobą.

Przez cały ciąg naszego marszu nie wiele widzieliśmy zwierzyny. Kilka sztuk „nowali“, zeber i pantarek przesunęło się koło nas. Śladów słoni ani na pokaz. Zadowolonym się więc czułem, że opuszczamy tę okolicę, gdzie moje uganianie za temi zwierzętami okazało się daremnem.

Kiedyśmy stanęli nad Szirą, było może około drugiej po południu. Przeprawa zabrała nam dużo czasu, bo musieliśmy parlamentować z Mangandżami, mieszkującymi po przeciwnej stronie. Dopiero po godzinie zdecydowali się przyjechać po nas jakąś nędzną „galawą“ [1])

Deszcz począł rosić w tym czasie, a następnie lunął na dobre i zmoczył nas należycie. Nie szkodziło to wiele murzynom, którzy oprócz swej skóry nie mieli nic do zmoczenia, ale ja, w wełnianej koszuli nasiąkniętej wodą, drżałem od zimna. Wyobrazić sobie więc można, jak byłem szczęśliwy, gdym się już znalazł po przeciwnej stronie, gdziem mógł się ogrzać przy ogniu i przebrać zmoczone odzienie. Wkrótce potem byłem już w łożu pod namiotem, który mi w środku wsi ustawiono.

D. 29. lipca. Ludzie spali na polu, a chociaż deszcz padał noc całą, mieli się znakomicie. Nad ranem ulewa ustała, ale niebo miało wygląd bardzo ponury. Gęste mgły unosiły się nisko ponad ziemią i wiły kłębami po rzece lub wzdłuż jej brzegów. Czasem zdawało się nam, iż unosimy się gdzieś

[1]) galawa — to samo co u Aczikundów almandyja — łódka z jednego pnia wyżłobiona.

między chmarami, bo stóp własnych prawie rozróżnić nie było można.

Stan ten jednakowoż nie trwał długo. Zerwał się silny wiatr i podmuchem od wschodu porozścielał te mokre płachty po lasach i stokach gór, gdzie się jeszcze do południa trzymały.

We wsi zabawiłem się dłużej niż należało, bo miałem tu kupić żywność dla ludzi, tutejsi zaś mieszkańcy nie byli skorzy do pertraktacyj handlowych. Dopiero Antonio potrafił ich roznamiętnić do „marondy“, pokazując z naszych zapasów coraz to piękniejsze koraliki, aż kupił dostateczną ilość na dwa dni. Pokazało się jednakowoż później, że przepłacił wszystko, a to dzięki pojawieniu się tamtejszych kobiet, które do handlu się wmięszały. Antonio miał zawsze dla płci pięknej serce z masła.

Marsz dzisiejszy był bardzo uciążliwy. Z początku szliśmy po równi przez mokre trawiska, ale zawsze jaką taką ścieżką. Potem ścieżkę zgubiono i trzeba się było przedzierać na przełaj zarośli, krzaków i innej gmatwaniny. Ubranie moje przemokło do nitki, a rodzaj febry wygrywał marsza na zębach. Musiałem wkrótce stanąć, bo byłbym upadł na ziemię, tak mi kolana dygotały ze zimna. Widziałem, że i czarni są pomęczeni i tylko widząc mnie idącego, wloką się za mną.

W południe wyjrzało słońce. Powitałem je z całego serca. Zastało nas ono wypoczywających nad brzegiem małego strumyka, gdzie gotowaliśmy nasz obiad, korzystając z wody. Miałem tym sposobem zaopatrzyć się w nowe siły. Niestety obiad nie odpowiedział swemu zadaniu, bo mięso popsuło się skutkiem skwaru, samej zaś lemieszki przez gardło przecisnąć nie mogłem. Byłem zatem zmuszony poprzestać na filiżance herbaty i kilku ziarnach prażonej kukurudzy, a takie jadło nie bardzo może dodać sił po forsownych marszach.

Wkrótce znów byliśmy w drodze.

Lasy, którędy idziemy, są dość nędzne skutkiem corocznego palenia traw, a tylko tu i owdzie dostrzega się jakiś pokaźniejszy okaz baobabu lub bawełnika. Czasem oko twe uwięzi na chwilę dziwna forma kaktusów lub euforbij, ale uciekasz od nich natychmiast, wiedząc, że sąsiedztwo ich jest niebezpiecznem. Zato z otuchą gonisz do gęstwin, zarastających wąwozy lub brzegi strumieni, zwanych tu „kalango“ [1]), gdzie możesz znaleść olbrzymie drzewa i roślinność przypominającą najbujniejsze okolice tropikalne.

Te „kalangi“ są częstokroć nie do przebycia. Owinięte lijanami i roślinnością pnącą się, podszyte kolczastymi krzakami, zabarykadowane wielkimi pniami upadłych drzew, połamanych konarów i innych odpadków, przedstawiają ścianę prawie jednolitą. W środku panuje ciemność, promienie słońca tam nie dochodzą. Wilgoć i wyziewy zgnilizny czuć do koła. Ani tu ptaków, ani małp, ani innych zwierząt; cicho i smutno. Tylko słoń i nosorożec lubi te schroniska, Tam umyka on przed palącem słońcem i gorszem od tegoż okiem myśliwego.

Czem dalej w góry — tem gorzej. Trawy wprawdzie już nie tak gęste i kolące, jak nad brzegiem, ale zarówno hamują nogi swemi silnemi łodygami i zniewalają do mimowolnych ukłonów. Co kilka kroków musisz się zatrzymać, aby odplątać chwast jakiś, który do nóg się przyczepił, co chwila uderzasz o pnie spalonych krzaków, a takie karambole, przyznać trzeba, nie dodają dobrego humoru. Do tego trawa na końcach opalona, dybie na oczy, a trudno, maszerując wśród puszczy, trzymać je spuszczone ku ziemi.

Zwierzyny bardzo mało; tych zaś kilka mniejszych antylop, które mi się na drodze ukazały, nie dostałem do strzału. Zato śladów słoni mnóstwo, ale wszystkie z pory deszczowej, ze stycznia lub lutego, t. j. z pory, gdy tu dojrzewają „Mfula“ (rodzaj jabłka, ulubiony przysmak słoni) i „Masuku“ (również owoc dziki, o kilku ziarnkach z słodkiem mięsem, które pokrywa owe ziarna), a owoce ich kupami leżą po ziemi. Nabieram przekonania, że i w te strony napróżno się wlokłem; słonie widocznie powędrowały do innych okolic.

Nocujemy w jednym z takich „kalangów“. Nastrój w obozie melancholijny.

D. 30. lipca. Dzień dzisiejszy smutnie się zaczął, bo od łajania ludzi. Jeszcze nie miałem czasu się ubrać, kiedy ukazała się przed namiotem deputacya złożona z Antonia, strzelca Namondi i dwóch, czy trzech chłopaków z oświadczeniem, że są zmęczeni i radziby już do Blantyre powrócić. Jeden z nich nawet zapuścił się tak daleko w swych argumentach, iż o mało co mi nie powiedział: My nie głupi tak łazić bez celu — i jak nie wrócisz zaraz, to my sami bez ciebie powrócimy.

Nowina taka, szczególnie ta uwaga ostatnia, która bardzo pachła nawyczkami Mazarczyka, wyprowadziła mię z równowagi.

Zawrzało też we mnie. Gdybym się był nie powstrzymał, byłby ten mowca dobrego otrzymał szturkańca. Udałem jednak, że pojmuję ich żądania, że to całkiem naturalne, iż kiedy są zmęczeni to wracać trzeba, i oświadczyłem, że nazajutrz wybierzemy się z odwrotem.

Ale gniew tajony we mnie znalazł wkrótce ujście. Wypuściłem go na kark Dominga, mojego małego lokaja, który po tem zajściu pierwszy pod rękę mi się nawinął. Podejrzywałem go, że on to innym myśl tę poddał, bo nigdy się z tem nie krył, iż życia obozowego nie lubi, i gdy tylko wrócimy do Mazaro, ze służby mej się uwolni. Zapłaciłem mu więc na odchodne.

Drugim był Antonio, który przyszedł uniewinniać Dominga. Ten wprawdzie kułaków nie dostał, li tylko dla swego podeszłego wieku, ale usłyszał kazanie, które może gorszem było, niż obicie kijem. Po chwili cały obóz wiedział, że Muzungu zły, i to zły na prawdę.

Ze smutnemi minami rozpoczęliśmy dziś nasz pochód. Ja naprzód — reszta za mną. Nawet stary strzelec, którego zawsze od innych odróżnić się starałem, nie śmiał mi się pokazać na oczy, i ciągnął z tyłu zachmurzony i milczący. Zdawało się, że idzie pochód pogrzebowy.

Nie znając drogi skierowałem się ku zachodowi, pewny, że tam niezadługo dostaniemy się do rzeki. Maszerując przez zarosłe parowy, krzaki bambusowe i trawiska — pokaleczyłem sobie mocno twarz, ręce i nogi. Rana koło kostki była najboleśniejszą i musiałem ją obandażować, ale zaledwie dowlekliśmy się do wsi, noga spuchła, i stanąć musiałem koniecznie.

D. 31. lipca. Jesteśmy znowu nad Szirą. Leżę dziś w hamaku i używam wypoczynku. Rana dolega mi jeszcze, ale nie tak bardzo, jak dnia wczorajszego. Próbowałem już nawet chodzić, nie idzie to jednak sporo, wątpię zatem, czy będziemy mogli stąd jutro wyruszyć. Tymczasem opatruję puchlinę odwarem z dzikiej malwy, które to lekarstwo zalecił mi nadworny mój lekarz Antonio.

[1]) Kalango — gąszcz, gęstwina leśna.

Wieś tutejsza, to zaledwie chat kilka, ale chat dziwnej roboty. Nie są to owe ule słomiane lub bambusowe mieszkańców dolnej Sziry, ani też lepianki, jakie się widzi po górach, ale prawdziwe kosze uplecione z trzciny, z słomia ą nakrywką w formie dachu. Wewnątrz ściany są wprawdzie wylepione, ale tego nie widać z pola, zatem efekt kosza pozostaje. Każdy domek ma swój płotek w półkole go otaczający, a to od strony skąd przeważnie wiatr wieje. Podobne, tylko o wiele mniejsze kosze stoją dokoła i służą za magazyny na zboże.

Tutejsi mieszkańcy nie wiele sieją zboża, a to z obawy przed Angonimi, którzy ciągnąc przez okolicę, kradną co pod rękę popadnie. Ale i tak bieda im nie dokucza, i nie wyglądają ani mizerniej, ani nędzniej od reszty ludu nadrzecznego. Już sama przyroda postarała się o to, aby im głodno nie było, dając im rzekę pełną ryb, a okolicę nader bogatą w zwierzynę rozmaitego rodzaju.

Rzeka, na którą mam widok z hamaku, roi się od hipopotamów, a krokodyle wygrzewają się do słońca z prawdziwą bezczelnością. Widocznie klimat tutejszy służy im doskonale, bo powyrastały do kolosalnych rozmiarów, co już i Antonio skonstatował, i radził mi spróbować na nich mój karabin Martini-Henry.

D. 1. sierpnia. Dziś nocą wybrało się kilku moich ludzi na zasiadkę na hipopotamy. Przy słabem świetle księżycowem wytropili jakiegoś spóźnionego biedaka w nadbrzeżnych trzcinach i powitali straszną kononadą. Ale hipopotam jakoś długo nie chciał się poddać, bo strzelano doń prawie godzinę, budząc ze snu całą wieś. Pośród ciszy nocnej huk ich karabinów rozchodził się zdwojonem echem po okolicy, a my, cośmy bliżej spali, mieliśmy wrażenie nocnej potyczki.

Nad ranem zaczęto znosić mięso i przyznać trzeba, były tego całe stosy. Składano je na kupki, rozbierano i sortowano. „Mfumo“[1]) tej wioski dostał całą nogę tylną w podarunku, a ta okazała danina wywołała liczne kwestie między jego dostojnemi małżonkami. Było też krzyków co nie miara. Do hałasów kobiecych przyłączył się także pisk dzieciaków, które nie mogąc doczekać się podziału, rwały mięso staremu z pod ręki.

Twarze moich ludzi rozjaśniły się nareszcie. Widok znacznej ilości mięsiwa podziałał zbawiennie na humory, cieszyli się jak dzieciaki, skakali i klaskali w dłonie. Zdawałoby by się, że mięso hipopotama jest specyałem nie lada, lub że je jedzą po raz pierwszy w życiu. Ale w tem tkwiła inna przyczyna. Serdeczne to ich zadowolenie przypisać należało temu, iż zwierza tego sami ubili, że sami go skonsumować mogli nie zdając rachunku „muzungowi“, który lubił czasami gderać lub wydzielał za małe racye. Prócz tego byli pewni, iż znaczniejszą część tego mięsa ze sobą do Blantyre zabiorą, a łup taki w oczach żon i kochanek miałby wartość nieoszacowaną. O wczorajszem zajściu zapomniano całkiem, teraźniejszość uśmiechała się w całej pełni.

Aby jednak transportować mięso podczas tekiej spieki, należało je pierwej wysuszyć. Mięso świeże, zwłaszcza mięso hipopotama, psuje sią nader szybko w tutejszym klimacie, a chociaż czarny zapaszkiem dziczyzny się nie brzydzi, woli je mieć w stanie suchym. Zresztą mięso świeże waży więcej, zatem nie zdołałby unieść tyle, co mięsa suszonego. Okoliczność ta nadawała się do moich planów; postanowiłem ją wykorzystać.

[1]) mfumo — szef, przełożony, królik, często i białego tytułują tem mianem.

Skoro więc tylko przyszli do mnie z prośbą, bym pozwolił im jeszcze dzień tu pozostać gwoli wysuszenia mięsa, odpowiedziałem, iż chętnie na to pozwolę, ale pod warunkiem, jeżeli oni mi nadal służyć zechcą, i pozostać tak długo ze mną, jak długo tego będę żądał.

Nie spodziewając się takiej alternatywy, nie wiedzieli co powiedzieć. Patrzyli ogłupiali jeden na drugiego, trącali się łokciami, nie mogli jednak przyjść do żadnej decyzyi. Ale kupki mięsa, które jakoś szczęśliwym trafem tuż obok leżały, podziałały na ich postanowienie. Przyrzekli mi, iż do pełni księżyca ze mną pozostaną, i na wypadek, gdybym miał iść nad Lisungwe, tam mi towarzyszyć będą.

Tak zapewniłem sobie ich pomoc jeszcze na dwa tygodnie, i te poświęcić zamierzam na zwiedzenie okolic nad Lisungwe leżących. Przez jutro zostajemy tu we wsi.

Lisungwe, o którem wspomniałem, jest górskim strumieniem, wpadającym do Sziry z prawego brzegu. Wypływa w kraju Augonich z łańcucha gór, zwanych przez Anglików „Kirk-range“, przepływa okolice prawie niezamieszkałe, a że nie wysycha w ciągu roku, jak inne tej wielkości strumienie, więc mam nadzieję, że tam nareszcie ze słoniami się zobaczę.

D. 7. sierpnia. Piszę to już we wsi Injamuli. Leży ona nad owym strumieniem Lisungwe, dokąd przybyliśmy przed dwoma dniami. Nazwa wioski pochodzi od imienia obecnego „mfuma“ tego obozu, i prawdopodobnie zniknie z jego śmiercią jak wszystkie tego rodzaju nazwy miejscowości, zamieszkałych przez tutejsze plemiona, a przyszły podróżnik, gdyby się chciał kierować temi wskazówkami, znalazłby się w niemałym kłopocie.

Po zawojowaniu tutejszego kraju przez Augonich, dostał się i Injamula pod ich panowanie. Sprawuje on dotąd urząd przełożonego wsi lub wójta, ale pod dozorem dwóch dodanych mu „indunów“, czyli starszych ze szczepu zuluskiego. Panów tych łatwo odróżnić od reszty Mangandżów ze szczególniejszego rodzaju fryzury, wyglądającej jak gruby ciemny krążek okalający głowę.

Wieś ta nie wielka, rozrzucona jest na zrębach lasu. Otaczają ją zewsząd ogrody, zniżające się aż nad brzeg strumienia, a cierniste płoty bronią przystępu bawołom i innym nieproszonym gościom, któreby pragnęły nakarmić się plonem rąk ludzkich. Zdziwiły mię tylko tu i tam otworem pozostawione wejścia; dowiedziałem się później, że w przejściach tych są doły, do których wpada zwierzyna, chcąc się dostać do ogrodów. Doły te misternie u góry nakryte, podobne są do dołów na hipopotamy, może troszkę mniejsze, i zwane tu „buna“.

Już dwa dni siedzę tutaj, a ludzie moi na tyle jeszcze nie wypoczęli, aby módz wyruszyć w góry. Stary Injamula, dostawszy odemnie podarunek, składający się z ośmiu metrów perkalu i szalu czerwonego, jest dla mnie bardzo dobrze usposobiony, i obiecał mi dać dwóch ludzi za przewodników.

Nie mając nic do roboty, wziąłem się w końcu do przeglądania mego dziennika, którego już od dni kilku nie miałem w ręku. Ostatnią datą był pierwszy sierpnia; od tego czasu nawet dni nie zanotowałem. Zachodziła obawa, że zagubiłem rachubę dat; ale przy pomocy Antonia, który robił znaczki na swej kolbie, wyliczyliśmy, że dziś czwartek, a zatem 7. sierpnia, czyli trzy tygodnie od opuszczenia Blantyre. Lukę tę postanowiłem wypełnić, i oto zabieram się do roboty.

Po opuszczeniu wioski (nazwy nie pamiętam), gdzie suszyliśmy naszego nieboszczyka hipopotama, przeprawiliśmy

się ponownie na prawy brzeg Sziry. Celem naszym było zbadanie pasma gór, szarzejącego na zachodzie, skąd wypływa Lisungwe, a które stanowi dział wód między Zambezi a Szirą. Chciałem też wprost tam maszerować, ale przekonany przez Namondiego o trudnościach, jakiebyśmy mieli włócząc się z całą bandą i pakunkami po tych wysokościach, postanowiłem założyć obóz u stóp góry, a że jedyną miejscowością tamże była wieś Iniamuli, do niej zdążaliśmy.

Droga z początku prowadziła brzegiem Sziry. Lasy i doliny, doliny i lasy, to ciągłe nasze widoki. Drzewostan bardzo lichy, przeważnie gatunki drzew twardych, których nazwiska kaferskie wypadły mi z pamięci. Kraj płaski, bezbarwny, i jakbym go nazwał, czysto afrykański. Trawy już wszędzie popalone, a białe popioły widniały tu i owdzie po gałęziach lub w szczelinach gruntu i między niedopalonemi źdźbłami trzcin.

Tragarze i strzelcy moi objuczeni mięsem, które nie wyschło dobrze, musieli się zatrzymywać co chwila dla wypoczynku. Zmuszała do tego i atmosfera gorąca i parna. Wlekliśmy się powoli, długim sznurem, który, to się rozrywał, to wiązał, stosownie do terenu, jakim nam iść wypadało.

Przedpołudniem, żegnając po raz ostatni Szirę, aby się zapuścić w krzaki, usłyszeliśmy dziwny jakiś szmer. Było to niby turkotanie koła młyńskiego, lub uderzenia śruby parowca. Czarni przystanęli nad brzegiem, aby się przekonać, coby to być mogło. Zaciekawiony i ja uczyniłem to samo; niestety do żadnego pozytywnego wniosku przyjść nie mogliśmy. Młynów w tym kraju jeszcze nie było, a parowiec, który pływał po tutejszych wodach, był podówczas na jeziorze Njassa.

Szum ten — jak to się później od Kaniolego Mangandży dowiedziałem — pochodził od wodospadów Murchisona. Ale na razie nikomu do głowy nie przyszło, by głos tak daleko mógł wędrować, bo wodospad oddalony od tego miejsca o mil kilka. I na próżno nad tem łamaliśmy sobie głowy, gdyż Kaniole, który na nasze rozmaite uwagi tylko się uśmiechał, nie objaśnił nikogo, lecz wytrzymał nas w takiej niepewności aż do wieczora.

Dobrze przed zachodem słońca zatrzymaliśmy się na brzegu lasu, skąd roztaczał się rozległy widok na wypaloną preryę. Byliśmy znowu w pobliżu Sziry. Z jednej strony zieleniła się obszerna kotlina, widocznie mokra, która zachowawszy swoją zieloną szatę, wyglądała jak oaza na szarem tle otaczającego ją gruntu, z drugiej strony sterczał mały pagórek ocieniony kilku drzewami i ten dominował nad całą okolicą. Tam postanowiłem rozłożyć się na nocleg.

Na dolinie pełno było zwierza. Czarne, szare i czerwone postacie zaobserwowałem już zdaleka, a zbliżywszy się do tego miejsca na kilkaset kroków, rozpoznałem w nich: „niakozwe“, „nowale“, zebry i dziki zwane „udżiri“. Rożnobarwny ten orszak maszerował brzegiem tej kotliny, przesuwając się przed naszemi oczyma, jak obrazek kalejdoskopu. Gdyśmy się wysunęli z poza krzaków, spostrzegły nas. Zatrzymały się na chwilę, potem ruszyły lekkim kłusem i okrążając nas w półkolu, podążyły ku zaroślom.

Jak od jednego rzutu ocenić mogłem, było tam do trzysta głów zwierza. Antylopy pomknęły przodem, za niemi dążyły dziki, na tyle zaś zebry powoli, jakby się ociągały opuścić wyborną tę paszę. I tak, gdy jedna ich część znikła już w lesie, inne jeszcze na dolinie były; szczypiąc trawę zatrzymywały się od czasu do czasu.

Była teraz najstosowniejsza pora do strzału. Podsunąwszy się jeszcze ze sto kroków naprzód, wybrałem sztukę najbliżej mi stojącą, i posłałem jej kulkę poza łopatkę. Padła po strzale jakby rażona piorunem, bo pocisk — jak to później skonstatowałem — przerwał główną arteryę serca, sprowadzając skutek tak raptowny.

Po strzale opustoszała dolina. W tumanach kurzu znikła reszta zeber, a na polu bitwy zostałem tylko ja i moja ofiara.

Chcąc zachować skórę, poszedłem oglądnąć moją zdobycz, a przy tej sposobności — przywoławszy jednego z chłopaków — dawałem wskazówki jak ją mają ściągać. Najtrudniejszem jest bowiem ściągnięcie skóry z głowy, murzyni zaś, nie chcąc zbytnio się natężać, obcinają ją całkowicie, przez co wygląd skóry wiele traci.

W tym czasie reszta moich ludzi zajęta była urządzaniem obozu. Kiedym do nich wrócił, już się ściemniało. Zastałem tam „marondę“, z którą przybyli jacyś Mangandżowie z drugiej strony rzeki — strzałem zwabieni.

Targ szedł nie sporo, bo czworo ich naraz kłóciło się z kapitanem, używając w tej polemice całego zasobu mimiki, tak właściwej ludom pierwotnym. Otoczywszy biednego Antonia ciasnym kręgiem, tłumaczyli mu, iż odmierza za małe „kwamby“ [1]) i chcieli koniecznie sami naciągać „nguo“ [2]), ku wielkiemu zgorszeniu reszty mej drużyny, która wydrwiwając ich, dawała poznać, iż podobny sposób handlowania nawet u „Mabzitów“ [3]) byłby niemożliwym.

Wśród tego gwaru i targania się perkalem, który kolejno przechodził z rąk do rąk odmierzany przez każdego z Mangandżów, nie zauważyłem na razie niepokaźnej postaci, siedzącej z tyłu z koszami mąki. Dopiero gdy się uspokoiło, a strony handlujące w zgodzie usiadły naprzeciw siebie i zaczęły wysypywać produkta z koszów, mogłem lepiej przypatrzyć się tej postaci.

Była to młoda dziewczyna, może w wieku lat dziesięciu lub dwunastu; sądząc jednak po jej drobnych dłoniach i stopach, na co też nasamprzód zwróciłem uwagę, nie wziąłbym jej nigdy za dorosłą kobietę. A przecież była taką. Była to jedna z najpiękniejszych murzynek, jakie tu w ciągu mego pobytu widziałem. Cerę miała gładką, jaśniejszą niż zazwyczaj mają Kafrowie, ciało mało tatuowane i to tylko pomiędzy piersiami i na policzkach w pojedyńcze gwiazdki, a ozdoba ta nietylko jej nie szpeciła, ale owszem dodawała powabu. Były to niejako plasterki piękności w guście afrykańskim. Oczy jej były ogromne, świecące i czarne jak węgiel. Twarz trochę zanadto okrągła, ale rysy dość regularne, usta małe, a wargi chociaż przekłute, żadnym jednak dodatkiem nie obciążone. I reszta, którą dla jej prymitywnego stroju dokładnie obserwować mogłem, była harmonijna i bez zarzutu.

Ale wracam jeszcze do oczu. Takiego wzroku dziwnego nigdy jeszcze przedtem nie widziałem. Jeżeli on miał być zwierciadłem jej duszy, to dusza ta musiała być całkiem odmienną od dusz reszty współbraci hebanowych. Oczy te patrzyły na świat tak smutnie a przenikliwie, iż, przyznaję się tu ze skruchą, o mało co nie padłem ich ofiarą. Była to niewolnica jednego z przybyłych Mangandżów, prawdopodobnie najstarszego wiekiem, ohydnego potwora, bo klęczała za nim z tyłu i odbierała próżne kosze po skończonym handlu. Spoglądała przytem to na nas, to na swego właści-

[1]) Kwamba — mniej więcej 2 yardy ang., długość między rozprzestrzenionemi ramionami.
[2]) Nguo — perkal.
[3]) Mabziti inaczej Mazitu — nazwa na różne plemiona zuluskie

ciela z pewnym wyrazem trwogi, jakby się obawiała, że ją znowu sprzedadzą jakim ludożercom. Czy i mnie miała za takiego? — nie dowiedziałem się nigdy, ale zdawało mi się, że nie, a w oczach, które często zdybywały się z mojemi, chciałem wyczytać odezwę: „Rycerzu biały! zlituj się nademną i wybaw z niewoli“. I w chwili tej żałowałem, że nie byłem czarny jak smoła, bym bez uczynienia ujmy mej godności — mógł skruszyć kopię w jej obronie. Ale szlachetny ten poryw musiałem stłumić w sobie i pogrzebać go na dnie serca, bo don-kiszoterya w czasach obecnych nawet w Afryce byłaby śmieszną.

(C. d. n.)

Hodowla kuropatw.

Brak kuropatw w kraju czyni usiłowania ochrony i hodowli tego cennego ptactwa łownego jednem z najpierwszych zadań myśliwskich. Ażeby zaś spełnić to zadanie, trzeba usiłowań w dwojakim kierunku: 1) w tępieniu drapieżców, dziesiątkujących kuropatwy i 2) w racyonalnem pomaganiu hodowli kuropatw.

Co do pierwszego nie ma potrzeby wiele słów tracić. Dobra straż łowiecka, proch i śrut, strzelanie na wiosnę i jeszcze przed lęgami jastrzębi, krogulców, kani, wron, srok i t d., niszczenie ich gniazd, tępienie lisa, strzelanie kotów i psów, nawykłych do włóczenia się po polach, płacenie choćby najniższego strzałowego od ubitych szkodników — oto recepta wszystkim dobrze znana; trzeba tylko, aby przez wszystkich była wykonywana, gdyż inaczej nie uzyskamy nigdy podstawy do zwierzostanu kuropatw i zajęcy.

Co do drugiego pozwolimy sobie przypomnieć, co należy czynić, ażeby chów kuropatw się wzmógł i lęg od nieprzyjaznych wpływów był strzeżony.

Kuropatwa — a od opisu jej chyba możemy się tu wstrzymać — lubi teren mieszany: łąki, krzaki, pola uprawne, gdzie mogłaby łatwo znaleźć miejsce na lęgi i schronienie przed prześladowcami. W polach uprawnych oziminy, a mianowicie żyto i pszenica, dostarczają jej już dostatecznego schronienia przy wysiadaniu młodych; zboża jare, jęczmiona i owsy, za późno osiągają potrzebny wzrost, aby jej mogły oddać tę usługę. Najmilszemi wszakże dla kuropatwy są łany koniczyny, gęste, ścielące się, zwarte, gdzie jej oko drapieżcy nie dojrzy; lecz z innego względu są właśnie te łany dla niej najzgubniejsze; oto przychodzą pod kosę właśnie w chwili, gdy proces wysiadywania jest w toku, lub gdy zaledwo pisklęta się wykłuwają. Szczególniej gniazda młodych kur, które się później do lęgu i wysiadywania zabierają, bywają przy koszeniu koniczyny niszczone.

Ochrona kuropatw odnosi się więc przedewszystkiem do tego, ażeby z chwilą rozpoczęcia sianokosów i sprzętu koniczyny czuwać nad wybieraniem jaj z napotkanych gniazd kuropatwich. Można to czynić przez dozorujących kośbę karbowych, a nie zbankrutuje i ten, kto płacić będzie kosarzom za znalezione i natychmiast oddane jaja kuropatwie. Są one po największej części już nadlężone, nie dadzą więc pożytku temu, kto je znajdzie, ale mogą być z pożytkiem pod kwokę podłożone. W czasie koszenia traw i koniczyny należy zatem mieć pod ręką parę kwok i indyczek, bo jaja w koniczach znalezione, byle nie zbyt długo przez starkę odbieżane, wysiędzie z łatwością kura lub indyczka i wywiedzie młode. Kwoka ma być spokojna i łagodna, a nie gwałtowna i popędliwa, jak to się często młodym kwokom zdarza, bo wśród ciągłego uganiania niejedno pisklę rozdepcze. Pod kurę można kłaść do 30 jaj, pod indyczkę do 60, w razie potrzeby jednak obejmie duża kwoka i 40 a indyczka 80 jaj.

Ponieważ wynalezione w polu jaja kuropatwie pochodzą z różnych gniazd i bywają w rozmaitym stopniu nadlężone, przeto w różnym czasie mogą się z pod jednej kwoki wykłuwać pisklęta, na co zważać należy. Jeden dzień może się pisklę obejść bez pożywienia, lecz na drugi i trzeci dzień trzeba mu podać siekanego białka z jaj, a później jajek mrówczych. Białko z jednego jaja kurzego wystarcza dziennie na 10 piskląt; taczka jajek mrówczych da dość pożywienia i 300 kuropatwom.

W czas pogodny i ciepły dobrze jest już trzeciego dnia wystawiać kwokę z pisklętami w odpowiednio urządzonym kojcu na łąkę. Kojec taki na metr długi, 75 cm. szeroki, na 60 cm. z przodu a 40 cm. w tyle wysoki i nakryty dozwala młodym na łąkę się wymykać i wcześnie już do żerowania się przyzwyczajać, na noc zaś, do picia wody lub w razie deszczu, do kojca i pod kwokę się chronić. Jeśli miejsce takie na łące jest od drapieżców płotem czy siatką ochronione, tem lepiej. Może być i kojec sam do pewnej wysokości na noc zasuwany; gdy się o wschodzie słońca zasuwę odsunie, wyciekają pisklęta natychmiast jak pszczoły z ula.

Jeżeli kwoka partyami przez dłuższy czas nierówno zalężone jaja wysiada, można pisklęta wedle ich wieku i wielkości sortować i pod opiekę innym kwokom oddawać. Opieka ta nie potrzebuje zresztą długo trwać; po 2 do 3 tygodniach wybierają sobie pisklęta dowolnie kwoki, a gdy ich się pod jednę za dużo na nocleg zbierze, przelatują do innych i w ogóle bez sporów i czubienia godzą się łatwo na rozmaite kombinacye. Tylko przy jedzeniu przychodzi czasem do załebków; to też jadło trzeba im o ile możności jak najszerzej rozrzucać.

Cała hodowla „zielonek“ nie trwa jednak dłużej nad 4 do 6 tygodni, szczególniej, jeśli lipiec jest suchy i ciepły i jeśli stadko ma łąkę lub ściernisko większe do dyspozycyi. Odrywają się wówczas „farbówki“ od kwoki, czasem i na paręset kroków, choć kwoka je i z dalszych wycieczek napowrót do kojca doprowadza. Lecz w gorące noce lipcowe i sierpniowe niechętnie już wracają do kojca i grupują się kupkami na czystem polu w pobliżu.

Następuje wyswobodzenie się ze sztucznej hodowli i powrót na łono natury. Czasem pozostaje kwoka aż do jesieni z „farbówkami“, dopóki jej nie odlecą, zazwyczaj atoli zaczyna się to już w sierpniu partyami odbywać. Szczególniej można to zauważyć tam, gdzie są kuropatwy w polu. Dzikie stadko zapadnie od czasu do czasu w pobliżu i upro-

wadza z sobą sztucznie hodowane towarzyszki. Czasem zbliży się tylko stara parka i zabiera młode ze sobą. H. Wagner, podając wskazówki co do hodowli kuropatw w czeskiem piśmie łowieckiem „Lověna“, opowiada, że w r. 1892 zauważył, jakgdyby stare kuropatwy czekały tylko na „farbówki“, które sztucznie zapomocą kur wywiódł. Zbliżały się do puszczonych wolno na łące i uprowadzały codzień po kilka tak, że po niewielu dniach została kwoka samiutką. Pozbawione własnej rodziny przez drapieżców lub kosarzy, chciały widocznie te bezdzietne parki chociaż w ten sposób dojść do wskazanej im przeznaczeniem roli wychowawców, lub te, które miały niewiele młodych, pragnęły gronka swe rodzinne powiększyć.

Wszystko, cośmy tu powiedzieli, tyczy się zużytkowania jaj, znalezionych przy kośbie. Lecz na tem nie powinna poprzestawać hodowla kuropatw tam, gdzie stan ich słaby i gdzie je forsowniej rozmnożyć potrzeba. W tym wypadku trzeba same kuropatwy przy lęgach chronić i ostrożnie im w dziele tem dopomagać.

Do tego celu służą większe, ogrodzone klatki czyli woliery, umieszczone w remizach lub na brzegach lasów, zdala od hałaśliwych dróg i gościńców, w pobliżu zaś takich łanów, gdzie kuropatwa łatwo może znaleźć schronienie, jak kartofle, buraki, kukurudza i t. p. W każdym razie powinny woliery na tym obszarze się znajdować, na którym kuropatwy mają pozostać, gdyż ptak ten nie zwykł się bardzo od swej pieleszy oddalać.

Konstrukcya woliery jest bardzo prosta, koszt jej nieznaczny. Wbite w ziemię koły do 2 metrów wysokie obwodzi się poprostu drucianą siatką o ciasnych oczkach i umieszcza na boku drzwiczki, służące do wstawiania naczyń z wodą i rzucania jadła. Rozmiary woliery zależne są od tego, ile par kuropatw ma w niej znaleść miejsce. W wolierze na 15 metrów^2 może się wygodnie i 4 pary kuropatw pomieścić. Największy rozmiar, jaki można dać wolierze, wynosi 48 metrów^2 (4×12); może być ona wówczas na 12 par kuropatw użytą. Miejsce na wolierę wybrane powinno być suche, o ile możności z gruntem piaszczystym, kamyczkowatym, przepuszczalnym, ze spadem dla wody deszczowej. Grunt rozmakający, glinkowaty, lepki jest najszkodliwszym; glina lepnie do cieczek pisklat, tworzy grudki ubezwładniające ruch ptaka i może się stać przyczyną jego zguby. Roślinność kawałka ziemi, obranego na wolierę, powinna w niej pozostać; pożądane są wysokie trawy i krzewy, dające cień i ukrycie dla gnieżdżącej się starki. Woliera pozostaje w górze otwartą, aby jednak udaremnić wdzieranie się do środka czworonożnych drapieżców, jak łasice, tchórze i t. p., należy deskę na 35 cm. szeroką umocować w górze horyzontalnie jak gzyms do kołów stanowiących szkielet woliery i przybić do niej górny brzeg siatki. Jeżeli jest strumyk wody, który może przez wolierę przechodzić, to staje się dla kuropatw wielce pożądany, a uwalnia hodowcę od wstawiania wody w naczyniach; należy wtedy jednak i na to zwrócić uwagę, aby siatka zanurzała się aż w wodzie, udaremniając i tędy przemykanie się drapieżców. Wogóle jak największa osłona roślinna z wewnątrz i z zewnątrz, ukrywająca wolierę przed okiem niepowołanem, jest przy urządzeniu jej wskazana.

Woliera nie ma na celu sztucznej hodowli, lecz ochronę naturalnego wylęgania kuropatw przed drapieżcą i kosarzem. Gdy wiosna jest wczesną, należy wolierę już z końcem lutego lub z początkiem marca urządzić i przeznaczone do wylęgu parki kuropatw w niej osadzić. Kuropatwy te mają być z końcem jesieni lub w zimie w sieci schwytane — im później tem lepiej. Najstosowniej jest chwytać je na 3 lub 2 tygodnie przed osadzeniem w wolierze, tak, ażeby przez dłuższe przebywanie pod dachem nie odwykły od zwyczajnego trybu życia. Oczywiście nie można z chwytaniem opóźniać się aż do tej pory, w której czas parzenia się nadchodzi i kuropatwy w pary idą.

Gdy celem woliery nie jest wcale sztuczna hodowla, nie wiąże się jej urządzenie z kosztowniejszem żywieniem piskląt przez 4 do 6 tygodni; wymaga się tu jednak starań około znoszącej jaja i wylęgającej je samki. Zamykając kuropatwy parami w wolierze, trzeba uważać, aby to nie były same stare koguty i kury, lecz także i młodsze pary. Zamknąwszy je obrębem siatki, spostrzeżemy wprawdzie, że przez kilka dni są kury bardzo niespokojne, lecz wnet oswajają się ze swem położeniem i spełniają całkiem tak jak na wolności obowiązek znoszenia i wysiadania jaj. Gdy kura już na gnieździe zasiędzie, można koguty wypuścić z woliery. Walki kogutów przy wyborze samki nie ma tu prawie żadnej, bo jest ich tylko tyle ile kur, a wcześnie obznajamiają się ze sobą. Zresztą poskramia chęć do walki kółko taśmy gumelastycznej, które się ptakom na lotki zakłada, aby wzlatywaniu ich ku górze zapobiedz. Wiemy z doświadczenia, że na wolności, już w ciągu znoszenia jaj, zwalcza jeszcze nieraz silny kogut słabszego i zdobywa samkę niszcząc posuniętą już do połowy pracę lęgową. Tych przerw, wpływających szkodliwie na rozmnożę kuropatw, nie ma w wolierze; kończy się czasem tylko na drobnych załebkach i ciosach dzióbom wymierzanych.

Kuropatwa znosi w wolierze, tak jak i na wolności, od 12 do 20 jaj i wylęga je w 21 do 23 dniach. Skoro tylko wszystkie pisklęta się wykłuły, otwiera się wolierę na drugi dzień i wypuszcza całe stadko na wolność. W ciągu wysiadywania trzeba nieraz wolierę nadglądać, a dwa lub trzy razy w tygodniu podrzucać przez drzwiczki lub przez siatkę nieco ziarna, najlepiej pośladu jęczmienia i pszenicy. Obwiązki na lotkach ptaków robi się z taśmy gumelastycznej na centymetr szerokiej; nie należy im wszakże dawać takiego rozmiaru, aby lotki mocno były spętane, lecz żeby tylko przy próbach wzlotu się nie zesuwały. Przy wypuszczaniu koguta i starki trzeba o zdjęciu tych obwiązek pamiętać. Uwolniony z nich ptak nie wzlata odrazu tak silnie, jakgdyby ich nie był dźwigał, lecz po bardzo krótkim czasie odzyskuje zupełną swobodę ruchów. Skoro już wszystkie starki wywiodą młode, odczepia się siatkę i deski od kołów i przechowuje się je na rok następny.

Na obszarach, gdzie nie ma lasu lub zarośli do urządzenia woliery przydatnych, trzeba się koniecznie starać o remizy, które i przy wylęganiu i przy ochronie kuropatw na czas zimy są niezbędne. Nie idzie w takim razie o wielkie drzewa, lecz o krzewy o ile możności zwarte, kolczaste, pod które kuropatwa łatwo się przedostaje, a które wstrzymują psa, lisa, kota, wronę i w ogóle nieprzyjaciół kuropatwy. Tarnina dzikie głogi, ożyny, rokitnik, tawuła i inne tego rodzaju krzewy wystarczają, aby dać kuropatwie ochronę i miejsce do lęgu. Na terenach łowieckich, czasowo wydzierżawionych, można urządzać małe i bardzo dla kuropatw przydatne remizki z bulwy, czyli topinamburu *(Helianthus tuberosus)*, który swym wielkim i bujnym liściem kuropatwy przed okiem drapieżcy ukrywa. Że w remizach i przy wolierach mogą być stawiane słupki z żelazkami na jastrzębie i inne samołówki na lotne drapieżce — rozumie się samo przez się.

A oto jeszcze jedna troska dobrego myśliwego, t. j. ochrona stadek kuropatwich w czasie zimy.

Najcięższą klęską dla kuropatw są zimne słoty od połowy maja do połowy lipca. Jeśli pisklęta mokną, jeśli cieczki ich w błocie grzęzną, ulega wnet młode ptactwo zbytecznej wilgoci i zimnu i całe pierwsze lęgi giną bezpowrotnie. Następują wówczas niekiedy drugie lęgi, zwłaszcza jeśli reszta lipca i sierpień dadzą pogodę ciepłą i suchą, ale i co do liczby ptaków i co do ich siły nie są one w stanie pierwszych chybionych lęgów zastąpić. Przeciwko tej klęsce zimnych słót nie ma niestety myśliwy żadnego środka zaradczego. W zimie wszakże, wśród zawalnych i wysokich śniegów, da się niejedno uczynić, aby kuropatwy od zagłady, w skutek srogości klimatu lub chytrości chłopskiej, uratować.

Przedewszystkiem należy w spokojnych, niezawiewnych miejscach urządzać chruściane budki, gdzieby się kuropatwy do porzuconego im ziarna ściągać mogły. Przenośne, wiklinowe kojce, na metr mniej więcej wysokie, są także do tego celu przydatne. Przystęp do takich kojców, jeśli nie jest sam przez się zwartemi krzewami chroniony, trzeba zakładać ciernistym chrustem, żeby się wrony za kuropatwami do budek nie znęcały. Już przy pierwszym większym śniegu należy takie budki czy kojce wystawiać i pośład pszenny w nich podrzucać. Jeśli się to pierwszy raz robi, dobrze będzie powysypywać trocinami, zmieszanemi z pośladem, na około drożynki, aby kuropatwy do miejsca obranego ściągnąć i przyzwyczaić je do szukania tam żywności. Dopóki śnieg nie jest bardzo wysoki i twardy, nie trzeba kuropatwom wiele pomocy w żywieniu, gdyż łatwo wygrzebują sobie całe chodniki w śniegu aż do ozimin, które nad suche ziarno przenoszą. Budki są jednak zawsze wskazane, gdyż inaczej ściągają się kuropatwy pod stodoły i chaty, gdzie je chłop wyrzucaniem pośladu nęci i tępi. Zbytecznem byłoby dodawać, że budki rzeczone trzeba od czasu do czasu odwiedzać, w razie zbyt wielkiego zawiania śnieg nieco odwalić i żywności świeżej donosić.

Dość upowszechnionem było dotąd wyłapywanie kuropatw siecią i trzymanie ich w izbach zamkniętych przez zimę. Dziś odstępują jednak od takiego zimowania kuropatw, a to z najrozmaitszych powodów. Najprzód ubywa zazwyczaj pewna część ptaków przez okaleczenie przy chwytaniu, a później przy rozbijaniu się o ściany i pułap, zanim się nieco oswoją. Następnie długa niewola zimowa czyni kuropatwę zbyt zaufaną do człowieka, na wiosnę zatem, wypuszczona, ściele gniazdo gdzie niebądź w pobliżu mieszkań ludzkich i naraża je najczęściej na zniszczenie. Ważniejszem wszakże jest to, że ptak się wydelikaca i z trudnością znowu do twardych warunków pobytu w naturze nawyka, a co gorzej, w skutek sztucznego i obfitego żywienia w ciągu zimy tyje kura, jest „pyszna“ i staje się na wiosnę znacznie mniej nośną. Nakoniec trudną jest do utrafienia chwila, w której ma się kuropatwy z zimowych leży na wolność wypuścić. Jeżeli to uczynimy wcześnie, gdy się ma jeszcze z przepadającymi śnieżkami i przymrozkami do czynienia, nie umie sobie wydelikacona w izbie kuropatwa dać rady i ginie marnie; jeśli się zaś spóźnimy z wypuszczeniem aż do tej pory, gdy się już stadka kuropatw w polu parkami porozchodzą, to jeszcze gorzej, gdyż traci się możność łączenia ptaków wydelikaconych z temi, które zimię pod gołem niebem przebyły, i wyradza się między sobą pokolenie, osłabione sztuczną zimowlą w swych instynktach i odporności.

We wszystkich tych wypadkach stoimy w obec niezłomnego prawa: aby człowiek nie fuszerował za wiele w dobrze urządzonym warsztacie natury. Tu i owdzie podać rękę pomocną, lecz nie uchylać zwierza od wpływów, przeszkód a nawet srogości, które na nim przyroda wywiera — gdyż wszystko to potrzebnem jest do zachowania jego rodu. Za dużo się opiekować i zdegenorować — to najłatwiej; mądrym pozostanie tylko ten, co w tej opiece rozumną granicę zachowa.

A jeśli przecie ród degeneruje i niknie — to jedyną roztropną interwencyą człowieka może być odnowienie krwi. Otóż i przy kuropatwach może być ten środek niejednokrotnie z korzyścią użyty. Sprowadzenie jaj kuropatwich z obcych stron i wyprowadzenie z nich piskląt za pomocą kur lub indyczek, dla zasilenia nowem pokoleniem swojskich stadek — oto rada, której także posłuchać czasem wypadnie. Wymiana jaj o mil kilkanaście może tu już mieć swoje znaczenie.

St.

Rybołowstwo na Uralu

podług Lengenfelda.

Już z początkiem wiosny, poniżej miasta Uralska, przez całą szerokość rzeki Ural zakłada się tak zwany uczug, t. j. płot z wici wierzbowych spleciony, a to w celu wstrzymania przepływu ryb w górę rzeki do morza Kaspijskiego. Odtąd pomiędzy tym uczugiem, a ujściem rzeki, żadnemu kozakowi, na zasadzie dawnych ustaw, nie wolno trudnić się połowem ryb. Rybołowstwo może być odtąd udziałem tylko całej gromady, która zajmuje się niem *in corpore* w czasie oznaczonym. Zarząd gminy wskazuje miejsce, początek i koniec każdej wyprawy, a nadto wydaje potrzebne na ten cel siecie i inne przyrządy. Ataman kozacki posiada tu taką władzą, jaką w innych prowincyach ma gubernator. Na każdej stanicy od osady Gurjew do miasta Uralska, oprócz miejscowego starszyny, którego obowiązkiem jest nie dopuszczać połowu ryb w czasie zabronionym, znajdują się jeszcze oddzielni, z wysłużonych kozaków wybrani dozorcy, przestrzegający, aby ryby jakimbądź na pobrzeżach hałasem nie były płoszone. W tymże celu w równych od siebie przestrzeniach nad zachowaniem wspomnianego porządku czuwają rozstawione straże wojskowe.

Według przepisów miejscowych, każdy dopuszczający się łowienia ryb w czasie zakazanym, uważa się za łupieżcę i surowym stąd ulega karom; spłoszone bowiem ryby, rozpraszając się w rozmaite strony, nie napływają gromadnie, a tem samem obfitość połowu zmniejszają. Mimo to, po za owym płotem czyli uczugiem, wolno kozakom każdodziennie

łowić ryby, które przed założeniem zagrody w górę rzeki posunęły się.

Jeżeli ataman chce obcemu przybyszowi dać dowody uprzejmego przyjęcia, wtedy urządza na jego cześć połów ryb z pomocą nurków w pobliżu uczuga. Miałem spobność, pisze autor, być obecnym tej prawdziwie zajmującej rozrywce. Kozacy z wszelką ostrożnością zepchnęli na wodę łódź zapełnioną gośćmi. Wieczór był cichy. Księżyc w pełni oświetlał bladawo płaski brzeg bucharski. O wiele wyżej wznosi się przeciwne pobrzeże samarskie. Im dalej zapuszczaliśmy się w rzekę, tem brzeg ten piętrzył się wyżej. Pod umiejętnem kierownictwem wioślarza, łódź nasza lekko sunęła z biegiem rzeki. Nagle ujrzeliśmy czarną linię szerokość rzeki przecinającą. Był to ów uczug, do którego właśnie dotarliśmy. Gdym się obejrzał, wzrok mój uderzył jaskrawy płomień na lewym rozniecony brzegu Na zapytanie moje o znaczeniu ognia, ataman przytłumionym głosem objaśnił mnie, że rozniecony na innej łodzi płomień ma na celu rozbudzenie śpiących ryb i zmuszenie ich do wynurzenia się na powierzchnię wody.

— Wszakże łódź płynie przy brzegu — odrzekłem — blask ognia nie dosięgnie ani do połowy rzeki; nie podobna więc wszystkie ryby ze snu rozbudzić.

— I o tem nie zapomniano, słuchaj pan tylko.

W tej chwili ciszę nocną przerwał donośny świst, po którym ze stoku góry czarna jakaś ruchoma masa z wrzawą rzuciła się w wodę. Była to liczna gromada chłopców, postępnjących pieszo za naszą wyprawą, którzy na dane im hasło z dzikim krzykiem rzucili się do rzeki, a dosiągłszy przeciwnego brzegu, po ponownem *salto mortale*, rzucali się na poprzednie wybrzeże, dopóki nowy sygnał spokoju nie przywrócił.

Podpłynąwszy na dziesięć kroków ku brzegowi stepowemu, ujrzeliśmy dwóch kozaków po pas w wodzie przybycia naszego oczekujących.

— No, chłopcy — zawołał ataman — mamy gości z dalekich stron do nas przybyłych, trzeba ich dobrą rybą uczęstować! Złapcie jesiotra!

— Czy ma być z ikrą, lub bez niej?

— Tak, z ikrą i to w najlepszym gatunku.

— Dobrze, panie, prosimy nas pobłogosławić!

— A więc w imię Trójcy świętej! — rzekł ataman, czyniąc nad nimi znak krzyża.

Jedyną bronią, jaką w tym dość niebezpiecznym połowie posługują się nurkowie, jest tak zwana „abraszka“, czyli ostry żelazny hak, na mocnym rzemieniu do prawej ręki przywiązany. Sam hak trzyma nurek dwoma palcami tejże ręki. Pewność, z jaką nurkowie przyjmują rozkaz złowienia jesiotra, i to ikrzaka, daje dowód niesłychanej wprawy, do której kozacy w tego rodzaju połowie dochodzą. Jednym rzutem pod wodą, jednem dotknięciem ręki dochodzi nurek do świadomości, z jaką rybą ma do czynienia. Natrafiwszy na sztukę pożądaną, nie traci chwili czasu (pod wodą bowiem każda minuta jest droga), więc zapuściwszy abraszkę w tułów ryby, spiesznie wyciąga ją na brzeg. Zdarza się niekiedy, że nie człowiek rybę, ale przeciwnie, silnem uderzeniem ogona ryba ogłusza swojego nieprzyjaciela. W tak krytycznej chwili łowiec tylko przytomnścią umysłu unika śmierci. Wtedy, jeżeli jeszcze czuje się dość silnym, staje do walki z olbrzymią rybą i pokonywa ją ponawianymi ciągle razami. Lewą ręką wolną usiłuje on utrzymać w wodzie równowagę, silnem uderzeniem pięścią w brzuch rybę ogłusza i czyni ją swoim łupem.

Kozacy uralscy przez cały rok zajmują się rybołostwem na swoich wodach. W miesiącu n. p. listopadzie, gdy rzeki już lodem ścięte, spotykamy się z łowieniem ryb zapomocą wędy lub ości. Pierwszą z tych, do której przytwierdza się blaszaną rybkę z kawałkiem mięsa, łowią sandacze i głowacice. Do tego rodzaju połowu wycinają w lodzie przeręble. Ościenie są to dwuzębne, w kształcie strzałki zakończone, na długiem drzewie osadzone widełki, któremi łowiec upatrzoną rybę przebija. Po nad przerębią ustawia się budkę ze słomy, a dostrzegłszy przepływającą rybę, ciska w nią oścień i rzadko kiedy celu swego chybia. Tym wszelako sposobem łowią się niższe gatunki ryb, służące kozakom za codzienne pożywienie. Z chwilą tajania lodów kończy się i ten rodzaj rybołowstwa.

Gdy lód poniżej miasta Uralska odpowiedniej dojdzie grubości, rozpoczyna się połów ryb dla zaopatrzenia kuchni dworu cesarskiego i połów taki w polizu miasta trwa jeden dzień. Złowione ryby, jakoteż otrzymany z nich kawior, upakowany na sanie, przy wyznaczonej na ten cel deputacyi, odstawia się do Petersburga.

Łowienie ryb harpunami trwa od połowy grudnia pomiędzy Uralskiem, a stanicą Ondaryńską. W tymże czasie przy ujściu rzeki Ural, od Bożego Narodzenia do Trzech Króli, mianowicie pomiędzy stanicą Ondarynską, a osadą Gurjew, odbywa się wielki połów sieciami. Po zamknięciu wszelkich wyżej wspomnianych połowów, wykonywanych głównie przez kozaków, zostających w czynnej służbie, rzeka Ural staje się wolną i wtedy każdy kozak aż po dzień 1-go marca może gdzie mu się podoba trudnić się rybołowstwem na własną rękę.

Miasto Uralsk jest głównem na ryby targowiskiem; wiele wszelako ryb zakupują przejezdni handlarze z pierwszej ręki na miejscu. Przeznaczone na sprzedaż ryby układają długimi na lodzie rzędami, co tem samem daje możność łatwego przeświadczenia się o ich dobroci. Jeżeli o jeden gatunek ryb ubiega się kilku kupców, wtedy o sprzedaży los rozstrzyga. Obrót pieniężny dochodzi do 70.000 rs.

Wszystkie, tak w rzece Ural, jak i w morzu Kaspijskiem żyjące ryby, kozacy uralscy dzielą na dwie klasy: na czerwone, które w miejscu kości kręgowych mają chrząstki, jakiemi są: wyz, jesiotr, szyp, sterlet i na czarne, mniej cenne, z których sum, karp, sandacz, leszcz, pierwsze zajmują miejsce. Cena ryb zależy od pory roku i od wielu innych okoliczności, a mianowicie: od mniejszego lub większego popytu kupców, równie jak od terminu dostawy i gatunku. I tak: jesiotr droższy jest od wyza i od szypa, ryby czarne tańsze od czerwonych, sum popłatniejszy od karpia, który znów droższy od sandacza i leszcza. Sterlety sprzedają się na pudy. Drobniejsza ryba idzie na użytek domowy. W lecie ryby, jako najbardziej podlegające zepsuciu, są najtańsze. W jesieni cena ich podnosi się, a najwyższa wśród zimy, kiedy zamrożone ryby dostawiane być mogą do głównych targowisk, jak do Niższego Nowogrodu, Kazania, Moskwy i Petersburga. Wypada tu dodać, że ryby rzeczne, jako obfitsze w kawior, bardziej niż poławiane w morzu Kaspijskiem są poszukiwane.

Czas tarła ryb przypada głównie na wiosnę, lubo nie wszystkich gatunków w jednym czasie. I tak, kiedy na wiosnę jesiotr gwiaździsty łowi się już wyikrzony, w tejże porze jesiotr zwyczajny ma ikrę jeszcze niedojrzałą. Ryby czerwone, zamieszkujące w morzu, zbliżają się na wiosnę ku brzegom i tam składają ikrę, a w maju powracają w głębiny morskie. W lipcu, lubo nielicznemi gromadami, znów podpływają ku wybrzeżom. Do rzeki Ural ciągną ryby zaró-

wno na wiosnę, jak w jesieni; wędrówka ich atoli wiosenna jest o wiele tłumniejsza. Kierunek wiatrów znaczny na ich ilość wpływ wywiera. Wiatr wiejący z południa podwójną radością napełnia umysły kozaków uralskich, raz dla obfitszego przypływu ryb, powtóre, że wiatr ten sprowadza deszcze na spieczone słońcem ich niwy. Przeciwnie, wiatr północny wpędza wody rzeczne z taką siłą w morze, że dno jego niekiedy na kilka wiorst od brzegu staje się widocznem. Wschodnie nawet wiatry znaczne mieszkańcom Uralu przynoszą szkody, tak z powodu wstrzymania dopływu ryb, jakoteż i zbytniego osuszania ziemi. Podczas więc przyjaznych wiatrów ryby czerwone licznemi gromadami ciągną do rzeki; jesiotr zaś wtedy tylko składa ikrę i następnie szybko wraca do morza.

Ryby, w jesieni do Uralu przybyłe, pozostają w nim całą zimę. Obrawszy sobie starannne gniazda i wypuściwszy z siebie kleistą ciecz (tak zwaną u rybaków koszulkę), gromadnie w leżyskach tych w stanie znieczulenia pozostają. Zarząd wojskowy wysyła tedy doświadczonych kozaków, których obowiązkiem zbadać ilość leżysk i stosowny w tej mierze złożyć raport.

Morze Kaspijskie, którego część północna stanowi posiadłość kozaków uralskich, zamarza w listopadzie, a później w grudniu; tajanie zaś lodów przypada na koniec marca, lub początek kwietnia. Rybołowstwo na morzu w tej porze znaczne także przynosi korzyści; zdarza się wszelako, że wszystkie u pobrzeża nagromadzone ryby ulegają zniszczeniu, a to głównie wtedy, gdy wiatr północny wyprze z pod lodu wodę na górną część morza, skutkiem czego lody nie znajdując podpory, opadają i duszą rybę. Przestrzeń tak zapadniętego lodu dochodzi niekiedy do 30 wiorst, można więc sobie wyobrazić, ile ryb pod lodem zmarniało.

Przed rozpoczęciem połowu, wszyscy kozacy udział w nim wziąść pragnący przybywają do miasteczka Gurjewa dla zapisania się u atamana, przywódcy wyprawy, poczem odbywa się losowanie miejsc, jakie każdy podczas połowu ma zająć na morzu Pierwszy numer stanowiska przypada tuż przy brzegu, następne zaś posuwają się coraz dalej w głąb morza. Najkorzystniejsze są numera: siódmy, ósmy, dziewiąty i dziesiąty. Jeżeli wiatr wieje z morza, wtedy najobfitszy połów przypada rybakom, dla których w udziale przypadły stanowiska blisko brzegów; przeciwnie, jeżeli wiatr dmie z lądu, stanowiska bardziej od brzegów oddalone obfitszy połów zapewniają. Niekiedy kozacy zapuszczają się o 10 mil w morze; zwykłą jednak granicą połowu jest 6—7 milowa odległość.

Z ryb łowionych sieciami wyjmuje się ikrę, pęcherz i wnętrzności; mięso zaś pocięte na kawały zostaje nasolonem. Na sto sztuk większych ryb wychodzi 3 do 4 cetn. soli. Najwięcej w tym czasie łowią jesiotrów, ukazanie się bowiem karpi, co zwykle na pierwsze dni maja przypada, jest nieomylną oznaką, że czerwona ryba ustępuje, a w jej miejsce rozpoczyna się połów ryby czarnej.

Liczba złowionych na wiosnę jesiotrów dochodzi 60—70.000 sztuk, z których otrzymuje się 2.400 cetn. kawioru, 40 cetn. karuku i tyleż wysuszonych ścięgien grzbietowych. Z jesiotrów wyrabiają tak zwany kawior prasowany; świeży zaś, mniej słony kawior, otrzymują z rozmaitych gatunków ryb czerwonych. Podajemy opis przyrządzenia kawioru, jako zapewne czytelnikom mniej znany.

Wydobytą z ryb ikrę wysypują na długie czworokątne przetaki, których dziurki równają się wielkości ziarn ikry. Przetak taki ustawia się nad beczką lipową, rozdzieloną drewnianą przegrodą na dwie połowy. Następnie do jednej połowy nalewają świeżej wody, dodając do niej ilość soli odpowiednią należytemu przygotowaniu kawioru. Ten słony rosół nazywają tusluk. Dla przyrządzenia świeżego, mało solonego kawioru potrzeba funt soli na 40 funtów ikry. Im więcej tusluk przejęty jest solą, tem jest lepszy. Dobroć kawioru nie zależy od ilości zużytej do niego soli, ale raczej od dłuższego mięszania ikry w owym tusluku. Wprawny przyrządzacz tego przysmaku już po wielkości ziarn ikry rozpoznaje, jak długo potrzeba ją mięszać, aby stała się dostatecznie słoną. Po skończeniu tej operacyi ikra wraz z tuslukiem przecedza się przez przetaki do drugiej połowy beczki i tu mieszają ikrę łopatkami, aby dostatecznie stężała, poczem wsypaną w worki łykowe ściskają w prasach dla odcedzenia pozostałej wody. Jeden taki worek zawiera 120—160 funtów kawioru. Nakoniec nakładają go w baryłki lipowe, wyłożone płótnem w tranie rybim umaczanem. Tego rodzaju kawior nazywa się serwetowy. Zwykle atoli pakują kawior w beczki bez płótna w ilości niekiedy 10 cetn. lub mieszczą go po prostu w grube lniane worki, zwłaszcza, jeżeli transport jest niedaleki. Tak zwana „sadkowaja ikra", jestto świeży, mało solony kawior, który w lipowych baryłkach wywożą na sprzedaż za granicę. Baryłka mieści zwykle 16—18 funtów.

Kozacy uralscy trudnią się także przysposobieniem wędzonych grzbietów z jesiotra, czyli bałyki; roczny atoli jej wyrób nie przechodzi 200—400 cent. Cena najlepszej z jesiotra lub wyza sporządzonej bałyki dochodzi w Uralsku 30 rs. za cetnar; w dobroci jednak ustępuje ona astrachańskiej i donskiej bałyce, której przysposobienie jest o wiele staranniejsze.

O wiele większe trudności towarzyszą zimowym połowom ryb na morzu Kaspijskiem. Rodzaj ten rybołowstwa zowią „achanok", a to od nazwy używanej na ten cel sieci (achan), bardzo długiej i odpowiednio szerokiej. Na lodzie wycinają w prostej linii dwa rzędy przerębli w odległości znacznej jedna od drugiej. W pierwszej takiej przerębli wbija się gruby pal, do którego przytwierdzają jeden koniec sieci. Za pomocą długich tyk kozacy przeciągają pod lodem drugi koniec sieci od otworu do otworu aż do ostatniej przerębli, w której znów do zapuszczonego w dno pala takową przytwierdzają. Sieć nie może być zanadto wyprężona, powinna tylko dosięgać do dna morskiego; ryby bowiem podczas zimy przebywają w najniższych warstwach wody. Połów podczas silnych wiatrów jest bezowocny: gwałtowne tedy falowanie morza miota siecią pomimo przytwierdzonego do niej balastu. Podczas silnych mrozów odważni rybacy zapuszczają się daleko na morze, dopóki tylko lód ciężar ich znosi, a upatrzywszy przyjazną do połowu miejscowość, rozbijają namioty filcowe w kształcie ściętej kuli. Cały zapas w tej wyprawie składa się z trzciny na posłanie i siana dla koni, które przywiązują do sani ustawionych w okół namiotów. Pozbawiony wszelkiej ludzkiej pomocy, sam sobie zostawiony, kozak widzi nad sobą nieustanną groźę utraty życia; oprócz bowiem wielkich rozpadlin w lodzie, zdarza się niekiedy, że całe to obozowisko stoi na lodzie wodą otoczonym. Jeżeli rozpadlina nie ma więcej nad dwa kroki szerokości, śmiały kozak przeskakuje takową wraz z przywykłym do tych skoków koniem. W razie napotkania szerszej rozpadliny, rybacy zestawiaja obok siebie wycięte kry lodu, tworząc tym sposobem most ścięty mrozem. Trudniejszem wszelako jest przebycie napotkanej zbyt szerokiej szyby wodnej. Jedynym tedy środkiem ocalenia jest uśmiercenie konia i uszycie dwóch worków z ściągniętej z niego skóry, które wypełnione powietrzem, przywiązuje kozak po obu stronach sani i wiosłując dyszlem, przepływa tym sposobem ową nie-

bezpieczną szybę wodną. W tak niepomyślnych razach, kozak ocala wprawdzie życie, traci atoli sieci i łup już zdobyty. W podobny sposób ratuje się podczas burzliwych wichrów, które łamiąc lód piętrzą go w wysokie góry. W tak rozpaczliwem, położeniu kozak powierza się instynktowi swojego konia. Wierny ten jego towarzysz pędzi wtedy naprzód z szybkością wiatru; lecz zdarza się niestety, że natrafiwszy na cienką warstwę lodu, kozak wraz z koniem i saniami znika w głębinach morza. Zdarza się także, że tak zabłąkany rybak, zapędzony w przestwór morza na wielkiej krze lodu, marznie na smierć, lub tonie, jeśli jaki astrachański statek rybacki wypadkowo nie ocali go od zguby. Bywają nakoniec wypadki, że koń dobiegnie do lądu ze zmarzniętym na saniach kozakiem.

W ogóle rybołowstwo na morzu Kaspijskiem przynosi podczas zimy następujące rezultaty: połów wyza dochodzi 12—16.000 cnt.; jesiotra 2 000 cnt.; kawioru 400 cnt. Zakupione w Giurgiewie ryby zamrożone i kawior kupcy wywożą przez Uralsk do środkowych miast cesarstwa.

W r. 1894 rozpoczęły się łowy zimowe i wybór kawioru na rzece Uralu w dniu 13. grudnia. Z rana o godzinie 8-ej dał się słyszeć w pobliżu Uralska strzał armatni i 6.000 kozaków rozpoczęło wyrębywać wielkie otwory w lodzie i zapuszczać haki. Już około godziny 11-tej przedpołudniem złapano 2065 jesiotrów i wyzów, ważących po 8 do 10 kg., a między temi 950 sztuk z kawiorem. Najlepszy kawior natychmiast nad rzeką przyrządzono i w obecności hetmana na dwór cesarski do Petersburga posłano. W dniu 15. i 17. grudnia sprzedano złapane ryby, przyczem płacono za pud (16 kg.) 4 rs. 70 kop. do 7 rubli, a za kawior 42—61 rubli za pud.

Zdawaćby się mogło, że bogactwo ryb w rzekach rosyjskich jest niewyczerpanem — tak jednak nie jest. Niszczenie tak ogromnej ilości ikrzaków prawie przed tarłem musi z czasem wstrzymać rozmnażanie się ryb i sprowadzić wyrybienie się rzek. Rozszerzenie sieci komunikacyjnej i zakłady przemysłowe również szkodliwy wpływ wywierają na rybactwo, a jeżeli nie przyjdzie w pomoc ochrona i hodowla ryb, bogactwo przyrody nareszcie wyczerpać się musi. Ten wypadek zaszedł i w Rosyi, o czem pisze znakomity znawca stosunków rybackich rosyjskich prof. Dr. Grimm, w dziele swem o gospodarstwie stawowem: „Rosya, kraj niegdyś tak obfitujący w ryby, sprowadza rocznie kilkakroć sto tysięcy pudów ryb świeżych, hodowanych w stawch z Prus i Austryi. W rzekach naszych znikają ryby, od czasu jak brzegi wzięto pod uprawę, lasy wycięto, a odpadki naftowe i fabryczne zatruwają wodę. Rybołowstwo ogranicza się głównie do ujścia rzek, a ryby świeże są bardzo drogie i nie zaspokajają zapotrzebowania.

„Ostatni straszny nieurodzaj wykazał dowodnie, jak smutne następstwa sprowadza brak wody. Zamiast zakładać i utrzymywać stawy, osuszaliśmy stawy, jeziora i rzeki, aby jednorazowo uzyskać lepsze żniwo. Posucha jednak jest główną przyczyną nieurodzaju, a nauka pod tym względem nie poszła w las. Już teraz bowiem zakłada się wiele stawów w celach nawodnienia, a w samej gubernii Tambowkiej założono ich około 200. Stawy te nietylko korzystnie oddziałują na rolę, powiększając wilgotność, lecz mogą jeszcze przynieść znaczne korzyści z hodowli ryb, dlatego mają one dla stepów naszych ogromne znaczenie. W środkowych guberniach, jak moskiewskiej, tulskiej i twerskiej nadają się zawodnione doły torfowe jeszcze lepiej do hodowli ryb, a szczególnie karpi. Wyrób torfu rozwija się bardzo, doły torfowe jednak wodą napełnione pozostają bez użytku, a przecież mogłyby być znakomicie spożytkowane na hodowlę karpia. Jeziora ne wybrzeżach Bałtyku z roku na rok mniej mają ryb, a właściciele tych jezior wkrótce z konieczności muszą się jąć sztucznej hodowli ryb, aby hodować sterlety, sandacze a nawet pstrągi — zanim to jednak nastąpi, musi przede wszystkiem ustać dzikie rabunkowe rybołowstwo. Hodowla ryb ma u nas przed sobą piękną przyszłość, a do pracy w tym kierunku zachęca przykład zachdniej Europy i północnej Ameryki, gdzie tak znakomite owoce wydała racyonalna a intenzywna hodowla ryb.“

(Okólnik)

KRONIKA.

Trzęsienie ziemi i zwierzęta. W czasie ostatnich trzęsień ziemi w Lublanie poczyniono niektóre spostrzeżenia nad zachowaniem się zwierząt wobec tego strasznego zjawiska przyrody. Pewien leśny z okolic Lublany, który pamiętnej nocy Świąt Wielkanocnych uciekał przerażony z lasu na gościniec, widział także kilka zajęcy, które w szalonym pędzie biegły ku pobliskim górom; słyszał także trwożliwe głosy kuropatw, które się z swych siadeł zrywały. Jeden z mieszkańców Lublany, który następną noc w powozie na polu przepędził, zauważył, że przed każdem słabszem czy silniejszem wstrząśnieniem zrywały się gołębie i wylatywały pustułki ze swych gniazd na dzwonnicach i zaniepokojone krążyły w powietrzu. Zięby i wróble, ćwirkając bojaźliwie, latały całą noc z miejsca na miejsce. Najwięcej przerażenia okazywały konie. Już przed pierwszem wstrząśnieniami były niespokojne, jak gdyby przeczuwając katastrofę, a w czasie trzęsienia wspinały się dziko, trzęsły się i rżały z obawy, uderzały kopytami o żłoby lub padały przerażeniem przejęte na ziemię. Toż samo i psy objawiały wiele niepokoju przed pierwszemi wstrząśnieniami, gdy się ich jeszcze nikt nie spodziewał, a w czasie katastrofy rzucały się dziko na łańcuchach lub błądziły po ulicach szczekając w właściwy, strach wyrażający sposób. Bez wszelkiego wrażenia przeszło trzęsienie ziemi nad... kurami. Te spały jak gdyby nigdy nic w swych kojcach kurnikach.

Wystawa broni myśliwskiej. Towarzystwo techniczne w Petersburgu otrzymało pozwolenie na urządzenie w r. b. w listopadzie, przez przeciąg 2—3 miesięcy, drugiej z kolei wystawy broni myśliwskiej i wszelkich przyborów krajowego i zagranicznego wyrobu. Wystawa urządzona będzie w salonach Towarzystwa. Na wystawę przyjęte będą: wszelkiego rodzaju broń palna i biała, oraz wszelkie przedmioty mające związek z myśliwskim i rybackim przemysłem lub sportem. Jako nagrody będą: medale, honorowe odznaczenia i listy pochwalne, a mogą je otrzymać tak rosyjscy jak i zagraniczni wystawcy. Na listę wystawców mogą być wpisani nietylko fabrykanci i rzemieślnicy, ale i posiadacze broni, którzy za wyróżniające się przedmioty lub kolekcye nagrodzeni zostaną listami pochwalnemi.

Sprawka zająca. Jeden z morawskich leśniczych pisze, iż zdarzyło mu się dochodzić urzędownie szkody, wyrządzonej przez zające na grzędach maku. Młode zielone rośliny maku były całkowicie poobgryzane, tak, że tylko resztki gołych łodyg na 10—20 centymetrów od ziemi pozostawały. Zrazu nie chciał ów leśniczy dać wiary, aby to było uszkodzenie, pochodzące od zwierzyny, bliższe wszakże badanie wykazało, iż tak jest w istocie. Jest to wypadek, nieznany najstarszym myśliwym, gdyż mak, jako roślina mająca w sobie zwiazki narkotyczne, stale bywa przez zwierzynę pomijany. Czyżby się nowe pokolenia zajęcy chciały morfinizować?

Sekretarz i Skarbnik gal Towarzystwa łowieckiego **Władysław Zontak** ulica Teatralna 18.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor **Juliusz Starkel** ulica Zyblikiewicza 5.

Z drukarni Pillera i Sp. we Lwowie.